ISSN 1507-4781* Indeks 325813* ROK XIV* JESIEŃ 2012* Nr 54* VAT 5%* CENA 3Z

FORUM 54

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów

STEFAN BERDAK, collage

W numerze m.in.:

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI, Cudowny wrzesień nad polskim morzem
WŁADYSŁAW LORANC, Kto zbuduje Polskę demokratyczną, wolną od sarmatyzmu, klerykalizmu i ksenofobii?
IGNACY S.FIUT, Tadeusz Grabowski - sylwetka twórcy świeckiej filozofii z przełomu XIX/XX wieku
SYLWESTER MARYNOWICZ, Pedagogia przyspieszenia i spowolnienia
JERZY J.KOLARZOWSKI, Zbawienna moc życia

SPIS TREŚCI:

1 **SŁOWO OD REDAKTORA**

2 **TEMATY SPRZED LAT.** Tadeusz Żeleński Boy, *Cudowny wrzesień nad polskim morzem.*

4 Wiesław Jarosz, *Wplątanie (się) z poplątaniem* (wiersz).

DZIŚ I WCZORAJ

5 Władysław Loranc, *Kto zbuduje Polskę demokratyczną, wolną od sarmatyzmu, klerykalizmu i ksenofobii?*

WYCHOWANIE I EDUKACJA

14 Ignacy S. Fiut, *Tadeusz Garbowski – sylwetka twórcy świeckiej filozofii z przełomu XIX/XX wieku.*

ZAPISKI SPOD BIURKA

23 Sylwester Marynowicz, *Pedagogia przyspieszenia i spowolnienia.*

KĄTEM OKA

28 Jerzy Hyrjak, *W poszukiwaniu motywacji i sensu...*

30 Izabella Degen, *Sen (z obrazu S. Dali), Wąsy* (wiersze).

31 Andrzej J.R. Wala, *Co w trawie piszczy?* – czyli domysły politycznego dyletanta.

33 Jan Kirsz, *Jak jesienne liście...* (wiersz).
Krzysztof Łojek, *** (wiersz).

OPIEKA I WYCHOWANIE

34 Jerzy J. Kolarzowski, *Wędrujące numinosum.*

36 Ks. Eugeniusz Dynowski, *Czytając Hesse'go* (wiersz),
Joanna Pociask-Karteczka, *jak dobrze* (wiersz),
Joanna Rzodkiewicz, *Pakujesz rzeczy* (wiersz).

RECENZJE

37 Józef Kabaj, *Jan Hartman, Polityka filozofii*, eseje.

42 Tadeusz Garbowski, *Samotność* (wiersz).

43 Józef Kabaj, *Zdzisław Słowik, Na drogach polskiego dialogu,Tadeusz M. Jaroszewski, Tadeusz Mazowiecki, Adam Michnik, ks. Józef Tischner.*

51 Jerzy J. Kolarzowski, *Zbawienna moc życia.*

55 Ignacy S. Fiut, *Emocje i wyobraźnia dyktują wiersze.*

OKOLICZNOŚCIOWE

58 Antoni Pietryka, *Europa i przyszłość polskiej lewicy* (Fotoreportaż).

60 (AP), *Obchody 71 rocznicy śmierci Tadeusza Żeleńskiego Boya.*

61 Jan Nowak, *Stanowisko Kongresu Krajowego Sojuszu Lewicy Demokratycznej w sprawie stosunków Państwo – Kościół.*

63 **Z PRASY**

WYDARZENIA ● KOMENTARZE

64 Czesława Jolanta Kotarba, *Wydarzenia*.

MYŚLI. Wybrała: Czesława Jolanta Kotarba.

RADA PROGRAMOWA:

doc. dr Andrzej Kurz – przewodniczący,
prof. dr hab. Czesław Banach – wiceprzewodniczący,
mgr Stanisław Franczak – wiceprzewodniczący,
mgr Jan Nowak – wiceprzewodniczący,
dr Józef Kabaj – sekretarz.

Członkowie:

prof. Wiesław Bielak,
prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Ignacy S. Fiut,
prof. dr hab. Marian Grzybowski,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
dr hab. Jerzy Kolarzowski,
dr Jan Kozłowski,
dr hab. Zbigniew Krawczyk,
prof. dr hab. Józef Lipiec,
mgr Mieczysław Noworyta,
prof. dr hab. Jerzy Ochman,
prof. dr hab. Jan Szmyd,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński,

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16
e-mail: sfranczak666@gmail.com; skalab@o2.pl

Wydawca:

Rada Wojewódzka Towarzystwa Kultury Świeckiej, 30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny im. Lidii i Leona Świeżawskich

Fotoskład:

Antoni Pietryka
ZST SKaBa, 31-422 Kraków, ul. Strzelców 9/1
tel. 12-35-87-915, 500-141-674
e-mail: skalab@o2.pl

Druk:
Agencja Reklamowa Novum, 31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
tel.: 12-633-35-53,
kom.: 502-067-059

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Stanisław Franczak.
Zespół redakcyjny: Ignacy S. Fiut, Jerzy Hyrjak i Sylwester Marynowicz (zastępcy red. nacz.), Józef Kabaj (sekretarz), Julian Kawalec, Czesława Jolanta Kotarba, Henryk Szydłowski, Barbara Pietryka (red. techniczny).
Fotoreporterzy: Ryszard Kosiba, Antoni Pietryka.
Opracowanie graficzne: Stefan Berdak.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

SŁOWO OD REDAKTORA

Przed nami złota polska jeseń i nowy rok akademicki. Nowe nadzieje i nowe wyzwania. Ile młodzieży zdobędzie wykształcenie, które praktycznie wykorzysta w pracy? Czy ten system kształcenia wreszcie zostanie zmodyfikowany, tak by nie trwoniono niepotrzebnie sił i środków? To pytanie, które uporczywie stawiamy sobie od lat wciąż bezskutecznie. A przecież to nasze wspólne dobro. Dziś nasze zasoby kadr wykorzystują w pełni za granicą. My kształcimy, oni mają gotowych fachowców. Nic też dziwnego, bo w Polsce nie płacą tak jak na Zachodzie. I koło się zamyka. Ale przecież, do licha, ktoś uprawia tu jakąś politykę! Czy świadomie? I jak długo jeszcze? A wszystko naszym kosztem.

W obecnym numerze pisma oferujemy Państwu artykuł pióra Władysława Loranca o kryzysie polskiej inteligencji, społeczno-politycznych aspektach jej rozwoju. Jest to rozdział jego esejów w książce, która niebawem ukaże się w naszej serii wydawniczej. Refleksje historyczne przeplatają się tu ze współczesnym widzeniem inteligencji i jej rolą w życiu społecznym. Warto pochylić się nad tymi problemami, by zrozumieć dzisiejsze procesy społeczne w naszym kraju. Zwłaszcza, że powinniśmy w nich sami aktywnie uczestniczyć. Co słychać w Ameryce donosi nasz korespondent Andrzej J.R. Wala. Warto też zwrócić uwagę na dwie książki recenzowane przez dr. Józefa Kabaja. Jest to pozycja dr. Zdzisława Słowika pt. *Na drogach polskiego dialogu* oraz prof. Jana Hartmana *Polityka filozofii.* Ponadto uważny Czytelnik znajdzie interesujące felietony i recenzje innych ciekawych książek, wiersze, wydarzenia i komentarze. A więc zapraszamy do lektury.

Kraków, wrzesień, 2012

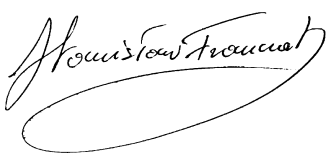

TADEUSZ ŻELEŃSKI BOY

Cudowny wrzesień nad polskim morzem

(Felieton zamieszczony w „Kurierze Porannym" nr 253/1937 r.)

Tadeusz Żeleński Boy był nie tylko pisarzem, ale także lekarzem. I chociaż pisząc ten felieton dawno już nie praktykował, to mentalność medyka tkwiła w nim mocno. Lekarze bowiem często lekceważą swoje zdrowie uważając, że lecząc innych, sami przecież nie powinni i nie mogą chorować. A w rzeczywistości pracują bardzo ciężko, niemal fizycznie (np. chirurdzy) i w ciągłym stresie, odpowiadają bowiem za życie swych pacjentów. Nie ma zatem racjonalnych podstaw by uważać, że choroba się ich nie ima. W cytowanym felietonie Tadeusz Żeleński Boy w sposób żartobliwy, dowcipny opowiada o swych perypetiach zdrowotnych i sposobach leczenia owych przypadłości.

CJK

Wszystkim, którzy okazali mi życzliwe współczucie ustnie, piśmiennie, telegraficznie, telefonicznie, którzy raczyli złożyć przy łożu chorego kwiaty – omal nie wieńce – pozwalam sobie tą droga przesłać najserdeczniejsze dzięki. Zarazem sądzę, że nie mogę na te dowody zainteresowania odpowiedzieć lepiej, niż zdając w najkrótszej formie sprawę ze swej przygody. Zwłaszcza, że jest ona, dość charakterystyczną ilustracją sposobu, w jaki kurują się sami lekarze.

Od wielu lat nie korzystałem z urlopu, nie wyjeżdżałem w lecie, nie zmieniałem zwykłego trybu życia. Odpoczynek mnie męczy, rozrywki mnie nudzą, najlepiej lubię zwykły dzień roboczy. I czułem się przy tym trybie dosyć dobrze.

Ale ten obyczaj nie znajdował uznania w oczach wielu przyjaznych mi i życzliwych ludzi. „Tak nie można! – powtarzali mi za zbliżaniem się lata. Coś trzeba robić dla zdrowia, inaczej prędzej czy później musi się to zemścić. Organizm ma swoje prawa i wymagania. Przynajmniej raz na rok człowiek, zwłaszcza w wieku dojrzalszym powinien iść jak zegarek do remontu." Od kilkunastu lat nie oddawałem zegarka do remontu i chodzi doskonale. Mimo to jasność i celność tego porównania zrobiła na mnie wrażenie. Mogę powiedzieć, że ta przenośnia wywarła na mnie wpływ

decydujący. Nie ma co – powiedziałem sobie – stanowczo już tego roku muszę jechać do Morszyna. Czemu właśnie do Morszyna, zaraz wytłumaczę.

Przed kilku laty zdarzyło się, iż z jakiegoś drobiazgu wybrałem się do laryngologa. Świetny lekarz i miły człowiek. Po skończonej konsultacji gawędziliśmy chwilę po przyjacielsku. Spytał mnie, nad czym obecnie pracuję. Właśnie w tym czasie spuchł mi dotkliwie ostatni staw małego palca u lewej ręki, co mi bardzo zawadzało przy pisaniu na maszynie. Pożaliłem się owemu lekarzowi pokazując palec. Obejrzał i powiedział: – Typowe zmiany artretyczne. Powinien się pan wybrać do Morszyna. Ja tam już dwa lata z rzędu jeżdżę i świetnie mi robi na wątrobę. Podziękowałem za radę i postanowiłem jej posłuchać. Pożegnałem lekarza, ale wybiegł jeszcze za mną na schody. – Panie kolego – wołał – ale uprzedzam was, że Morszyn to bardzo poważna kuracja! Koniecznie potem trzeba zrobić „nachkur" (wypoczynek po kuracji). Najlepiej w Zaświeciu na stoku Karpat. Bajeczny wypoczynek! Zapisałem sobie nazwę, kontent, że mam już tak szczegółowo określony cel. Ale pozostał mi jakby wewnętrzny, nie dyskutowany już nakaz streszczający się w słowie Morszyn. Co wiosnę powtarzałem sobie, że już w tym roku stanowczo muszę jechać do Morszyna. I nie jechałem, ale gromadził się we mnie z roku na rok osad jakby wyrzutu niespełnionej powinności. Musiałem się od niego uwolnić, zatem w maju zamówiłem pokój na drugą połowę lipca, posłałem na żądanie poważny zadatek – klamka zapadła. Przybyłem do Morszyna w oznaczonym terminie. Morszyn jest dzięki hojnemu zapisowi własnością Towarzystwa Lekarzy Małopolski, którzy robią wszystko, aby go podnieść i rozsławić. Morszyn ma wszystkie warunki, aby stać się europejskim uzdrowiskiem. Zdecydowawszy się raz na „remont", poświęciłem się kuracji bez zastrzeżeń. Co dzień brałem masaż ze szczególnym uwzględnieniem okolic brzucha, odbywałem długie spacery, ściśle przestrzegałem diety. Kuchnia morszyńska jest ostatnim słowem zdobyczy dietetyki. Czegoś zdrowszego trudno sobie wyobrazić. Jarzyny wygotowane do ostatnich granic wytrzymałości, bez soli i bez masła; mięso doprowadzone do stanu włóknistej masy, bez najmniejszego smaku (zastrzegam się, że to nie jest krytyka, Morszyn dumny jest z tej właśnie kuchni). Ponieważ gardzę na ogół rozkoszami kulinarnymi, poddałem się tej diecie z ochotą, zwłaszcza, że ją dzieliłem solidarnie ze wszystkimi. Czasem tylko słysząc dookoła rozmowy o samych wątrobach, woreczkach żółciowych, okładach borowinowych itd. zapytywałem mimo woli sam siebie: „co ja tu właściwie robię?". Wówczas zginałem sobie mały palec u lewej ręki, chrupał ciągle i to mnie pocieszało.

Dieta morszyńska dobra jest pod jednym warunkiem: nie powinno się podczas niej widzieć ludzi jedzących co innego. I zazwyczaj nie ma się ku temu sposobności. Ale zdarzyło się, że przyjechał do Morszyna na kilka godzin były premier Bartel. Ponieważ nie był kuracjuszem, a był znakomitym gościem, podano mu na obiad (który jadł na ogólnej sali) smakowicie przyrządzoną wspaniałą pieczona kurę i krem czekoladowy. Potrawy te wywołały zrozumiałą sensację, cała sala wpatrywała się w ten obiad prof. Bartla, wielu osobom podobno to zaszkodziło.

Co do mnie, nie jestem przesądny, ale od tej pieczonej kury coś się we mnie przesiliło. Jedzenie ledwo mogłem przełknąć, przestało mi smakować, nawet masaż, pomimo że był coraz energiczniejszy, nie cieszył mnie. Ale ponieważ straciłem przy tym parę kilo na wadze, byłem zadowolony. „Przemiana materii – pomyślałem sobie, ta gorsza materia wychodzi, a lepsza jeszcze się nie ukonstytuowała (tak to sobie tłumaczyłem naukowo). Świetna kuracja, tylko zdaje się, że trzeba mieć na nią końskie zdrowie. Za to będę się czuł potem doskonale". Potem okazało się, że nie wiedząc o tym i bez żadnych objawów nosiłem w sobie cierpienie tzw. ślepej kiszki i że mimo woli robiłem w Morszynie wszystko, aby zapalenie tajne zmienić w jawne i przewlekle ostre. Dokończyłem sumiennie dwudziestojednodniowej kuracji, ale na „nachkur" już nie miałem zdrowia. Nie czekając końca urlopu udałem się do redakcji i zgłosiłem się do pracy. W nocy przyjechało do mnie pogotowie lekarskie, a nazajutrz byłem na stole operacyjnym – zgorzel wyrostka robaczkowego, płyn w jamie brzusznej etc.

W niespełna 10 dni wypatroszony, zaszyty na gładko znalazłem się w swoim pokoju, w swoim łóżku, tym różniący się od klasycznego zegarka, który wrócił z remontu straszliwie osłabiony, płaczliwy, bliski stanu maniakalnej depresji. Stanowczo po tylu latach zaniedbania.

W tym roku za wiele zrobiłem dla zdrowia. Z dania na dzień, trochę oszołomiony, pod wpływem przyjacielskich rad, znalazłem się w Juracie. Ożywcze działanie morza dość jest znane, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, aby było tak potężne. Nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę stawałem się innym człowiekiem. (...)

Wybrała i komentarzem opatrzyła:
Czesława Jolanta Kotarba

WIESŁAW JAROSZ

Wplątanie (się) z poplątaniem

Niektórzy mogliby z wplątywania się
w tarapaty zdobyć mistrzostwo świata.
Dlaczego tylko droga prowadzi tam
a nie z powrotem.

Co to za mistrzostwo świata
z którego nie można się wyplątać.
Dlaczego nie można być mistrzem świata
w wyplątywaniu się z wplątywania.

Którym nam bliżej
do (wszystko) jednej Europy
czy do Polski Polskiej

Coraz trudniej odróżnić
wieś od wiochy
panów od wieśniaków.
Tak szybko staliśmy się
narodem ludzi wyzwolonych –
najbardziej od przyzwoitości:
osobistej narodowej polskiej.

Wiersz z almanachu *Pożegnanie Lata Pisarzy i Artystów 2009*, Wyd. STAL.

WŁADYSŁAW LORANC

Kto zbuduje Polskę demokratyczną, wolną od sarmatyzmu, klerykalizmu i ksenofobii?

Kryzys polskiej inteligencji nie jest wynikiem jednego aktu politycznego. Trudno o przekonujący dowód, że można go wiązać tylko z procesem transformacji. Wielkość i upadek znaczenia tej warstwy to wynik skomplikowanego procesu, rezultat wieloletnich przemian politycznych przedstawionych w rozdziale: „Dwa wieki kapitalizmu i zmagań o stworzenie jego alternatywy w latach1789-1989" oraz w dwóch częściach szkicu, zwłaszcza we fragmencie: „Narodziny, wzlot i upadek nowej inteligencji".

Próbę odpowiedzi na pytanie, jak wyjść z kryzysu, rozpocznę od przedstawienia kilku refleksji na temat przemian współczesnego świata. Zabieg to celowy, jeśli odpowiedź nie ma być kolejną zabawą intelektualną na temat jakiejś tam „postnowoczesności" czy „postmodernizmu", lecz spełni przynajmniej jeden warunek: pobudzi dyskusję, w której nie marnuje się czasu na spory wokół efektownych hipotez, intrygujących jedynie tych, co szukają sposobu na lekkie i przyjemne spędzenie czasu w zastępującej salon kawiarni, gdzie szuka się wyjścia z matni bez otwarcia oczu na realne stosunki polityczne i los zwykłych ludzi. Na terytorium opisanym linią brzegową basenu Morza Śródziemnego mogło powstać i długo trwać *Imperium Romanum*. W świecie, w którym Chińczyk rywalizuje z Amerykaninem, a ten stał się rywalem Europejczyka z nieczystym sumieniem obserwującego Afrykę i Azję, a z lękiem spoglądającego na Arabów – w świecie tak skomplikowanych i napiętych stosunków nowa wersja imperium nie wydaje się możliwa w innej postaci niż kopia tego, co już było narzucone bezwzględną przemocą. Użycie dla stwarzanego imperium efektownego imienia *Pax Americana* w niczym nie zmieniło faktu, że cel ten pozostaje niemożliwy, a podjęcie próby wprowadzenia go „gdy inni śpią" zakłada prawdopodobieństwo terroru na taką skalę, iż należy wątpić, czy po tym eksperymencie utrzyma się podział na „zwycięzców" i „pokonanych". Taki *happy end* to raczej pobożne życzenie. W budowie *Pax Americana* przedmiotem gry nie jest zachowanie lub likwidacja któregoś z wybranych ustrojów czy krajów jako osławionego „imperium zła", lecz samo istnienie ludzkiego świata. Tę myśl warto zachować w wyobraźni, zastanawiając się, jak wyjść z kryzysu. W tych warunkach tradycyjne pojęcia sojuszu i solidarności zmieniają treść. Nie chodzi już o sojusz któregokolwiek państwa z innymi podmiotami, by sprostać zagrożeniu. Chodzi o takie rozumienie sojuszu, by było możliwe ocalenie całości przed pogrążoną w imperialnym amoku częścią. W świecie, w którym rozważamy ten problem, pojęcie Słowianie ma sens wyłącznie etnograficzny, a nie polityczny. Nie istnieje solidarność Słowian z tych samych powodów, dla których nie istnieje solidarność Arabów czy Azjatów. Walka

toczy się bowiem o nowy Kongres Wiedeński, który przyjmując polityczną diagnozę K. Metternicha uznał, że: „Istnieje w Europie tylko jedno poważne zagadnienie, tym zagadnieniem jest rewolucja". Tańczący Kongres przywrócił na prawie sto lat prawa dynastii do ziem i tronów, co nazwano zasadą legitymizmu, a respektowanie zapewniono siłą Świętego Przymierza. Nie chodzi też o wersalski Traktat Pokojowy z 1919 roku. Jego twórcy podzielili uczestników na cztery grupy, tylko pięciu z nich przyznając głos decydujący. Było to w istocie spotkanie nie stron zainteresowanych pokojem, lecz kongres zwycięzców, którzy „póki Niemcy i Rosjanie śpią" narzucili swoją wolę. Nie był to traktat pokojowy lecz rozejm, który wytrzymał konfrontację z następstwami wojny zaledwie dwadzieścia lat. Dziś chodzi o rozwiązanie obejmujące cały glob, o nowy ład dla świata jako podstawę rozwiązania najtrudniejszej alternatywy: świat demokratyczny czy świat kapitalizmu globalnego. Tak zarysował się dylemat polityczny pierwszych dekad XXI wieku. Oczywiście nie chodzi o kalendarz, że skoro nowy wiek, to także nowe myślenie. Sprostanie wezwaniom współczesnym zależy od tego, by nie zlekceważyć doświadczeń XX wieku. Wielu inteligentów chętnie mówi, że w stuleciu, które odeszło, „Europa była krwawym teatrem absurdu". To efektowna diagnoza, z pozoru moralnie nienaganna. Ja porównam ją do kotary w teatrze, która oddziela publiczność od akcji dziejącej się na scenie. Europa nie była teatrem absurdu, lecz metropolią świata, która dwukrotnie wepchnęła go w wojnę dla obrony swych kolonialnych interesów i imperialnych celów. Uzasadniała swą wolę dwoma dobrze brzmiącymi argumentami. Starą zasadą rzymskich cezarów: *Roma locuta, causa finita – Rzym postanowił, sprawa skończona* oraz zasadą przyjętą od carycy Katarzyny II: *„zwycięzców się nie sądzi"*. Retorykę współczesnych polityków oparto na pozornie nowych argumentach. Przekonują nas, że dla obrony praw człowieka dopuszczalna jest każda polityka, z użyciem terroru włącznie. Przyjmując to rozumowanie „na wiarę", ufając tym, co powołują się na myśli twórców epoki Oświecenia, skłonni bylibyśmy uwierzyć, że każdy ze współczesnych ma szansę obrony swoich ludzkich praw. Niestety natarczywie atakują nas wątpliwości, kto w naszym świecie naprawdę jest człowiekiem. Ta wątpliwość nie jest chimerą lub moją obsesją. Przypomnę, że nie tak dawno „czarnuchów" traktowano jako inny gatunek ludzki. W czasie wojny wietnamskiej wyłączono z podmiotowych praw „żółtków". W czasie konfliktu na Bałkanach dziennikarze przekonywali swych czytelników i słuchaczy, że „czerwoni", zwłaszcza gdy są Serbami, to dzikusy, po prostu barbarzyńcy. Nie szukajmy przykładów tylko u obcych. W czasach, gdy „zstąpił duch i odnowił oblicze ziemi, tej ziemi", nie skąpiąc robotnikom komplementów mówiono: „praca staje się narzędziem, jednym ze środków zbawienia". Dwie z pielgrzymek Jana Pawła II, te z 1983 i 1987 roku, poświęcono zapewnieniom, że „Kościół chce być Kościołem robotniczym". Chwalono pracowitą Łódź. Komplementowano tych, co „sercem troszczą się o ład pracy". Dziś bez oporu mówi się „robol" a nie robotnik, „burak", nie chłop. Jednym i drugim zarzuca się niedojrzałość i skażenie konsumpcyjną mentalnością. Nie tylko ich. Siedem miliardów ludzi uczy się, a dokładnie są codziennie pouczani, że bycie człowiekiem wymaga karty uczestnictwa w klubie „Siedem+", przy czym ów plus dotyczy podmiotów, które o swą egzystencję walczą na trudnych obszarach od Bugu do Włady-

wostoku. Przez oratorów wolności są traktowani jako rezydenci na „ziemi niczyjej". Pozbawianie ludzi pracy statusu podmiotu zaczęło się niedługo po zwycięstwie „Solidarności", w plebiscytowych co do charakteru wyborach. Wybierano przecież między szeryfem a rozbójnikami bez analizy ich programów wyborczych. Skutki okazały się epidemiczne i podobnie jak robotników dotknęły inteligentów. Polityczne zmiany w gospodarce, w strukturach społecznych uruchomiły nie tylko zjawiska kryzysowe, ale wywołały swoistą anihilację inteligencji. Większość grup zawodowych okazała się zbyt liczna, niektóre po prostu zbędne. Spróbowano środków zaradczych. Błyskawicznie powstawały prywatne uczelnie traktowane jako przechowalnie młodzieży, dla której znikły miejsca pracy w transformowanym przemyśle. Przechowalnie traktowano tak, że można powiedzieć, iż produkowano dyplomy, a nie inteligencję. Nad całością życia społecznego zapanowała prawica. W jej myśleniu politycznym dominuje przekonanie, że część jest zawsze większa od całości, a w każdym razie ważniejsza, bo tylko ona – skoro odzyskuje przywileje – udowadnia, że jest elitą, czyli częścią predysponowaną do władzy.

Prawica w Polsce spolaryzowała się na dwie orientacje (model amerykański), co spowalnia odczytywanie zmian przez zwykłych ludzi. Liberałowie z PO uważają, że inteligent nie może kontestować realnego kapitalizmu. Ma demonstrować odrazę do haseł populistycznych i komplementować zbawczą rolę rynku. Powinien sakralizować własność, także wielką, na której nie spoczywają żadne serwituty. PiSowska orientacja zawłaszcza wszystko, co w świadomości ludzi kojarzone bywa z patriotyzmem. Członkowie tej partii uważają, że misją inteligencji jest moralna sanacja kraju i obrona wartości chrześcijańskich. Deklarują gotowość zadośćuczynienia wszelkim zamachom na własność i ograniczenie przywilejów w latach PRL. Środki na tak rozumiane przywracanie sprawiedliwości pochodzić mają z likwidacji własności państwowej oraz zawłaszczenia własności spółdzielczej, komunalnej. Prawa obywatelskie liderzy PiS respektują tylko wobec tych, co udowodnią, że w latach 1944-1989 działali w opozycji lub przynajmniej myśleli opozycyjnie, a to udowodnić łatwo, bo wystarczy mieć tylko świadka swych intencji, albo mniej czy więcej prawdziwe trudności z awansem. Obie prawicowe partie mają jeden wspólny rys: lekceważą rolę ludzi pracy, a najchętniej kwestionują ich istnienie. PO chętnie akcentuje rolę państwa, lecz trudno dostrzec, by zobowiązywała to państwo do przestrzegania obywatelskich praw. PiS sakralizuje naród, wobec którego jednostka ma obowiązki, lecz nie ma wyraźnie określonych praw. Ewidentną wadą obu partii jest nie tylko lekceważenie realnego położenia ludzi pracy, zwłaszcza zagrożenia bezrobociem i brakiem ochrony praw zawodowych. Prawica lubi powoływać się na demokrację, lecz nie robi dosłownie nic, by przerwany na wstępie transformacji proces emancypacji wznowić i skutecznie kontynuować. A bez powrotu do politycznej, społecznej i kulturalnej emancypacji ludzi pracy wszelkie oracje o budowie nowoczesnego narodu polskiego pozostaną propagandowym blefem. Tak widzę i przedstawiam ogólne warunki podjęcia przez inteligencję zadań związanych z budową demokratycznej Polski. Tylko ona, najsłabiej dotknięta emigracją zarobkową, zasilana kadrami wykształconej części młodego pokolenia może podjąć to zadanie, które równocześnie jest jej jedyną i realną szansą. Zapytam: kto, jeśli nie inteligencja, podda wszechstronnej analizie

nowy exodus Polaków za chlebem? A ten los dotknął przejściowo lub trwale prawie trzy miliony ludzi. Kto podda naukowej analizie proces nie tylko zamieszkania na Ziemiach Odzyskanych, lecz zadomowienia się tam? Kto wniknie w spustoszenie mentalne i pauperyzację setek tysięcy robotników rozproszonych, bezrobotnych i dziś bezkarnie ośmieszanych? To nie są drobne marginalne epizody procesu transformacji, ale jego natura. Byśmy lepiej się rozumieli, przypomnę baśń Andersena. Gdy król i otaczający go dworacy wystarczali już sami sobie i opiewali najnowsze lecz nieistniejące szaty monarchy, szansą wyjścia z amoku był głos dziecka: „Król jest nagi!" Piszę o gospodarce, bo obłuda dworu żąda rezygnacji z realistycznego mówienia o tym, czego codziennie doświadczamy. Dwór żąda usunięcia z życia publicznego innych ocen niż te, które on nam narzuca. Żąda, byśmy przyjęli język „Solidarności" i wszelkie wydarzenia w życiu zbiorowym opisywali przy użyciu zasobu leksykalnego tego języka i gramatyki zbudowanej na normach typu: „jestem za, a nawet przeciw". Najmocniej skłania mnie do wypowiedzi kwestia własności państwowej i jej fatalnych losów. Co do istoty rzeczy była to własność wspólna, a więc ekipa przejmująca władzę po wyborach czerwcowych w 1989 roku i zaklinająca się na normy demokracji powinna była jej bronić, bo nie było to mienie porzucone czy własność niczyja. W swej ostatniej książce A. Wasilewski ujął to tak: „Było o co wojować w kraju, w którym większa część majątku narodowego skupiona była w rękach państwa i po zwycięstwie politycznym dyspozycja nim przechodziła do strony zwycięskiej". Mówiąc wprost, kto wygrał wybory, przejmował bezpośrednią i niepodzielną odpowiedzialność za los majątku narodowego. Z tego punktu widzenia należy spojrzeć na politykę gospodarczą L. Balcerowicza, J.K. Bieleckiego czy J. Lewandowskiego. Każdy obywatel świadomy swych praw i obowiązków powinien pytać nie tylko o to, kto z małych złodziejaszków w chaosie zmian coś ukradł i jaką poniósł karę. Pytajmy także, kto sprywatyzował ponad osiemdziesiąt procent polskich banków, tracąc kontrolę nad ich funkcjonowaniem? Kto zlikwidował ważne gałęzie polskiego przemysłu, że przypomnę: bawełniany, wełniany, stoczniowy? Kto likwidując PGR skomplikował kondycję gospodarczą Ziem Zachodnich i Północnych, a dodatkowo horrendalnie zwiększył ilość emerytów? Trzeba o to pytać, by autorzy tych „szokowych rozwiązań" nie spali spokojnie, by brak snu stał się udziałem smokingowych elit i wyeliminował je z gry o charakter państwa polskiego. Jako nieprofesjonalista nie mam gotowych odpowiedzi, ale dla przywrócenia dyskusji, bez której odpowiedź nie powstanie, przedstawię przesłanki ujęte w formie bliskiej pamfletowi, lecz realistyczne.

Osioł obładowany złotem przestaje być symbolem głupoty, a staje się najsympatyczniejszym ze zwierząt. Wielu sprytniarzy użyło różnych przynęt, by zachęcić sympatycznego zwierzaka do wejścia w ich zagrodę. Najgłupsze z profesjonalnych opinii, jakie zdarzyło mi się usłyszeć przy tym nęceniu, brzmiały tak: „fabryka warta jest tyle, ile ktoś chce za nią zapłacić" (J. Lewandowski). „Najlepszą polityką gospodarczą jest brak tej polityki" (T. Syryjczyk). Symptomatyczne, że ich autorzy nigdy nie odmawiali bycia ministrami. Zapewne sądzili, że jak w dobrej anegdocie, ministrem może być każdy. Wystarczy, by był dyspozycyjny wobec strategów liberalizmu i umiał się podpisać na liście płac pracowników rządu. A obie cechy posiadali, więc zostali

ministrami. Rola L. Balcerowicza też mieści się w tym zbiorze. Istnieje w opinii publicznej jako fundator zegara odmierzającego szybkość, z jaką zbliżamy się do katastrofy, którą wywoła niepokojąca także jego jako człowieka polityki dysproporcja między dochodami państwa a wielkością obciążenia budżetu państwa wydatkami socjalnymi. To ujmująca wrażliwość! Zapytam jednak, jak można ją pielęgnować ulegając zupełnej amnezji na temat pierwszorzędnej roli w załamaniu funduszy emerytalnych, w bezmyślnym wypędzeniu setek tysięcy ludzi na renty, pomostowe emerytury, emerytury dla likwidowanych branż i zawodów w ramach szokowej terapii. Można by sądzić, że wszystko co przypomniałem podyktowane jest moim przyzwyczajeniem do traktowania własności państwowej jako najcenniejszej. Ten esej powstaje z przekonania, że przezwyciężenie kryzysu wymaga inteligencji do aktywnej roli w przywracaniu zdolności analizy położenia gospodarstwa narodowego i ludzi gospodarujących na tle integrującego się świata kapitalizmu globalnego. Przyznaję, że nieobce mi są etyczne tradycje środowiska ludzi pracy w pojmowaniu ważnej kwestii własności. W powieści *Kamień na kamieniu* W. Myśliwskiego jej bohater tak rozstaje się ze światem: „testament Stasiu leży za obrazem Jezusa. Wszystko jest tam napisane co komu, a serek jak odcieknie weź sobie". Dla starego Prażucha i jego środowiska własność nie jest kradzieżą, bo jest owocem pracy, do którego ma się prawo tak jak do oddychania. Inteligencja powinna upowszechnić myślenie, że nie ma własności niczyjej; gdy powstała z pracy i służy zaspakajaniu potrzeb moich, twoich, naszych to zawsze jest czyjaś: prywatna, państwowa lub gminna, spółdzielcza lub spółek. Gdy upowszechni się tę myśl, zwykły człowiek sprzeciwi się, by tylko jedną z form własności uznać za świętą. Z prawnego punktu widzenia w demokratycznym państwie każda z jej form jest równie święta. Tej zasady powinna bronić wracająca do gry inteligencja i od tego uzależnić poparcie tej z politycznych partii, która mówi, że jest gotowa do rządzenia.

Drugie z ważnych zadań – kwestia wartości

Stanowisko w tej kwestii przedstawię bardziej jednoznacznie, ale z zachowaniem akcentu osobistego. Zachęca do tego wspomnienie, które zawdzięczam obserwacji sejmowych obrad. Przed laty mogłem usłyszeć w dyskusji poselskiej otwarte wyznanie porażające swym archaizmem i oportunizmem: „To nieważne, czy Polska będzie bogata czy biedna. Ważne, by była katolicka". Kategorycznie odrzucam to myślenie atakujące także fundament tradycji religijnej wyrażony w biblijnych słowach: „i czyńcie ziemię sobie poddaną". Przyszłość III RP oprzeć trzeba nie na zmitologizowanych wartościach chrześcijańskich, a tym bardziej na ich kłamliwej interpretacji, lecz na trzech najważniejszych aktach polityczno-moralnych współczesnego świata: Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 roku; Karcie Atlantyckiej z 1941 roku, która domaga się, by przywrócić jej znaczenie; *Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka*, zwanej niekiedy Deklaracją Paryską z 1948 roku. Moje przekonanie uzasadnię trzema argumentami.

Chrześcijaństwo było współodpowiedzialne za kolonizatorską przeszłość Europy. Zapamiętano jego bezradność w obu światowych wojnach wyniszczających głównie Europę z jej katedrami włącznie. Wartości chrześcijańskie obciążone są tą złą tradycją.

Rzecz nie tylko w tych generaliach. Stosunki między Polakami a Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami były i są podporządkowane mitowi kresów wschodnich jako przedmurza chrześcijaństwa, a dokładniej katolicyzmu, co francuski historyk Daniel Beauvais traktuje jako „wyraz narcyzmu polskiego krzywdzącego sąsiadów". „Solidarność" podmieniając w 1989 roku pracę ludzką, którą obiecywała wyzwolić, na instrumentalnie traktowane hasło niepodległości i suwerenności kraju, pozbawiła się szansy korzystnego kształtowania stosunków Polski z sąsiadami. Co prawda deklarowała uznanie ich prawa do niepodległości, pod warunkiem jednak, że swej suwerenności będą dochodzić tylko wobec prawosławnej Rosji. Na tej drodze „Solidarność", a ściślej to co z niej zostało, manipulowała swoim stosunkiem do religii katolickiej i selektywnie traktowanych wartości chrześcijańskich. W tym miejscu warto zauważyć, że jedenaście rozdygotanych liter trafnie oddawało charakter tego ruchu i nerwice jego liderów. To był trafny znak graficzny rozbieżności politycznych celów oraz chaosu kryteriów i wartości. To dziedzictwo ruchu nadal obciąża obie prawicowe partie. Jest coraz wyraźniej czynnikiem sprawczym moralnego rozchwiania społeczeństwa.

Wracam do głównego wątku kwestii wartości. Podstawą, na której Europejczycy budują demokrację, jest nadal Deklaracja z 1789 roku. W artykule pierwszym postanowiła: „Ludzie rodzą się i pozostają wolni również z punktu widzenia prawa. Różnice społeczne mogą się opierać tylko na użyteczności wobec społeczeństwa".

Logiczną konsekwencją tej zasady pozostaje odrzucenie istoty rozumowania liberałów, którzy uznają, że każdy człowiek jest wolny, ale im bogatszy, tym bardziej ma być wolny, bo przecież bogactwo potwierdza dojrzałość jednostki do wolności.

Drugim dokumentem rozwijającym współczesne rozumienie wartości jest *Karta Atlantycka*. Jej sygnatariusze aprobowali punkt ósmy precyzujący cel prowadzonej wojny: „Wszyscy ludzie we wszystkich krajach będą mogli pędzić swe życie wolni od strachu i niedostatku". Dostrzegamy w tej idei przestrogę przed uznaniem, że wystarcza sam tryb wyłaniania władzy przedstawicielskiej. W myśl karty decyduje nierozdzielność dwóch wolności: od strachu i od niedostatku.

Trzecim aktem prawnym wzbogacającym myślenie Europejczyków o wartościach jest *Deklaracja Paryska* z 1948 roku. W artykule 23 postanawia: „Każdy człowiek ma prawo do pracy, do swobodnego wyboru pracy oraz do ochrony przed bezrobociem". W trzeciej dekadzie transformacji jest już dla inteligencji czymś pewnym, że te wielkie uregulowania prawne najlepiej stymulują myślenie człowieka inteligentnego o wartościach. Nie mogą ich zastąpić apele o filantropię lub sentymentalne bajdurzenia o doskonaleniu moralnej wrażliwości. Inteligencja powinna otwarcie demonstrować, że nie chce jałowej moralistyki ludzi władzy. Odrzuca ją, bo z zasady zostaje podporządkowana konkluzji, że każdy biedny jest sam sobie winien. Poszukując z moim środowiskiem wyjścia z kryzysu opowiadam się za światem, w którym praca nie jest dobrem reglamentowanym, a jej cena i warunki wykonywania nie zależą od kaprysów pracodawcy. Dlatego powtórzę: w centrum naszego myślenia o wartościach musi się znaleźć praca, a nie kapitał.

W obszarze objętym dyskusją o wartościach warta omówienia jest jeszcze sprawa ich wyboru dla zaspokojenia potrzeby osobistej, jednostkowej. Mam na myśli reli-

gię i problem wyboru wiary. W tym zakresie mogę się tylko zwierzyć, a nie namawiać. W środowisko inteligencji wrastałem jako człowiek poszukujący swej postawy światopoglądowej w warunkach tuż powojennych. Wybrałem najpierw postawę antyklerykalną. Szybko ją jednak pogłębiłem tak, by odpowiadała lepiej na moje psychologiczne potrzeby. Od kryzysu wiary jako nawyku moje myśli o Bogu, co do istoty, nie zmieniły się. Dla mnie jest on ikoną przez pokolenia lokowaną w przestrzeni kosmosu. Tkwił w tym podziw dla jego bezkresu i lęk przed zagadkami, jakie w nim tkwią. Dla mnie Bóg to inni ludzie, a w istnienie ludzi nigdy nie wątpię. Odrzucam myśl o lękliwym powrocie do tradycji, bo wędruję do celu, jakim jest ludzki ład świata. Jestem ateistą, dla którego człowiek jest jednością tego, co tkwi w nim jako Dobro oraz tego, co tkwi jako zło. Nie powtarzam już, że „człowiek to brzmi dumnie", ale nie mam wobec wierzącego poczucia wyższości i nie przeżywam też kompleksów z powodu utraty wiary. Słowo człowiek brzmi dla mnie jak zapowiedź, hipoteza pozostająca tak długo otwartą, dopóki ten drugi – inny – nie ujawni swych intencji, nie skonkretyzuje ich jako czynu. Ufam człowiekowi, gdy przekona mnie właśnie czynem, jaką częścią wspólnoty się staje i jaką stronę swej natury dopuszcza do głosu: dobro czy zło, altruizm czy egoizm, gotowość współpracy czy wolę konkurencji. Gdy deklaruję ateizm, myślę nie o Bogu. lecz o moim stosunku do drugiego człowieka. Mówię mu: jesteśmy ludźmi, gdy współdziałamy. O tyle jesteśmy, o ile bywamy solidarni, jesteśmy ludźmi, gdy wybieramy pokój, a nie miecz. Nie nadaję swej postawie modnego, lecz coraz bardziej obłego imienia: agnostyk. Jestem ateistą, dla którego religia przestała być spoiwem wspólnoty, albowiem Kościół, także w Polsce, nie jest instytucją narodową, czyli substytutem państwa, ale jest ze swej nazwy instytucją powszechną. Staje się, i tak być powinno, instytucją ważną dla ludzi wierzących. W świecie, jaki tworzymy, wiara niech będzie sprawą indywidualnego i wolnego wyboru, a Kościół dobrowolnie tworzoną instytucją ludzi wierzących. Tylko na tej drodze można oczyścić świat wartości z wirusów klerykalizmu i ksenofobii. Utrwali się świat bardziej przejrzystych stosunków między ludźmi i narodowymi wspólnotami.

Trzecie z ważnych zadań – przywrócić blask słowu historia

Ta część eseju powstaje z przekonaniem o potrzebie dobrego sąsiedztwa oraz współpracy między ludźmi wierzącymi w pomoc Opatrzności, a tymi co śpiewają: „i z własnej woli sam się zbaw". Społeczeństwo polskie potrzebuje naukowej diagnozy swego położenia. Ale taka może powstać przy aktywnym udziale tysięcy obywateli nie zdominowanych przez szarlatanów, którzy codziennie recytują, że znów „byczo jest", bo przez lata transformacji kraj idzie od sukcesu do sukcesu. A przecież zwykli ludzie codziennie doświadczają materialnej pauperyzacji, nieoczekiwanego powrotu „przymusu ekonomicznego". Ludzi dręczy chroniczne bezrobocie, zagrożenie utratą pracy, upadek kilku tradycyjnie silnych gałęzi przemysłu. Ludzie lękają się pułapki tkwiącej w protezowaniu swych przychodów zaciąganiem kredytów. Pogłębia się schizofrenia w ocenach położenia kraju, pewności czy niepewności własnych losów. Wolno nam, jesteśmy do tego nawet

zachęcani, aby pożerać się nawzajem. Trwa podsycana i coraz bardziej zawzięta walka każdego z każdym. Słabnie nasz instynkt samozachowawczy. Stłumiono zdolność myślenia w kategoriach interesu państwa. Zachęca się do aroganckich ocen tych, co rządzili wczoraj i apologetycznych wobec tych, co rządzą obecnie. W jednym i drugim przypadku nie wymaga się respektu dla kryterium prawdy. W wyborach, które poprzedzają i kończą igrzyska, nie decydujemy o programach rozwoju gospodarczego, bo ich nie ma. Nie oceniamy, jak działają sojusze międzynarodowe. Nie kreujemy nowych postaw obywatelskich. Wspieramy coraz bardziej jałowiejącą krytykę. Wciągnięto nas w demagogiczne zakłamywanie historii. Po wyborach patrzymy z powracającym przerażeniem, jak kolejny Sejm przemienia się w prowincjonalny sejmik szlachecki. Jak nigdy dotąd potrzebujemy rzeczowej odpowiedzi na pytanie: „skąd i dokąd idziemy?" Oczy całego społeczeństwa zwracają się w stronę inteligencji.

Najpierw dwie przesłanki do odpowiedzi na pytanie, skąd idziemy. Dokonam tylko rekapitulacji wcześniej omówionych faktów.

Druga wojna światowa nie była jedną z wojen lecz straszliwym wysiłkiem niezbędnym, by zapobiec zmowie faszyzmu i militaryzmu dokonanej dla odtworzenia państw niewolniczych, zdolnych do zdławienia siłą wszelkich form demokracji. Kto w warunkach wychodzenia z wojny poparł reformę stosunków społecznych i angażował się w realizację czterech celów narodowych: odbudowa miast i rozwój gospodarczy; integracja społeczeństwa w nowych granicach kraju; reforma rolna i demokratyzacja oświaty, kultury i ochrony zdrowia; rozdział kościoła od państwa z zachowaniem ich kompetencji i praw – powtórzmy, każdy kto poparł ten program – był patriotą. A każdy, kto – jak premier rządu londyńskiego, który oświadczył w grudniu 1944 roku: „Nie chcemy Wrocławia ani Szczecina" – był nowym targowiczaninem.

Drugą przesłankę do odpowiedzi sformułuję powtarzając ocenę PRL szerzej przedstawioną i uzasadnioną w artykule dołączonym do Aneksu kończącego ten esej.

Czy PRL była hybrydą administrowaną przez narzuconą „strefę wpływów", czy też była pełnoprawnym podmiotem stosunków międzynarodowych, a więc państwem normalnym, chociaż ograniczonym w suwerenności przez realia zimnej wojny, na której powstanie nie miała żadnego wpływu? Państwo było normalne, chociaż rozwijało się w nienormalnych warunkach międzynarodowych. Obie przedstawione tu przesłanki są konsekwentnie odrzucane przez obie prawicowe partie. Proklamowana przez PiS, a tolerowana i nie kwestionowana przez PO „nowa polityka historyczna" nie odwołuje się do filozofii historii, nie nawiązuje do żadnej ze szkół historycznych. PiS, LPR i Radio Maryja oraz jego protektorzy zmierzają do gruntownego przenicowania historii Polski. Macherzy od prawdziwej historii chcą narzucić młodemu pokoleniu swoją opowieść nie o tym, jak toczyła się historia kraju, lecz jak się toczyć powinna. Dla nich nie historia jest nauczycielką życia, ale ich życiowe interesy pouczają historię. Kiedy popełniała błędy, kto zawinił, a kto zdradził? W tak przenicowanej historii klęski stają się zwycięstwami, sojusznicy zdrajcami, a bohaterowie tchórzami. Przypomnę dwa przykłady. Powstanie Warszawskie zostało z pedantyczną dokładnością oddzielone od ruin

i krwi. Nie mówi się o dwustu tysiącach ofiar cywilnych i siedemnastu tysiącach ofiar powstańców. W odbudowanym mieście organizuje się inscenizacje, które pod pretekstem, że opowiadają prawdziwą historię, są jej rzeczywistym zakłamaniem. W „poprawionym" obrazie historii brak uczciwego, czyli obiektywnego przedstawienia emigracji. Jej nowy obraz koncentruje uwagę na środowisku londyńskim i na Radiu Wolna Europa. Marginalizuje się opis i znaczenie ośrodka paryskiego z takim zapałem, że pozostaje tylko czekać, aż takie jego autorytety jak: Gieydroć, Mieroszewski, Gombrowicz i Miłosz zostaną zapewne niedługo zlustrowanie. Instytucja wyspecjalizowana w podobnych operacjach już istnieje. Jest nią Instytut Pamięci Narodowej.

Co wyziera spoza samodurstwa „nowej polityki historycznej"? Określenia typu: „robole", „buraki", „socjalizm ustrój hołoty dla hołoty" oraz osławione wezwanie lidera nowej elity „spieprzaj dziadu" to nie tylko emocjonalne, pańskie okrzyki prowincjonalnych oratorów, lecz przejaw mentalności liderów nowych formacji politycznych, którzy do władzy wjechali nie na białym koniu, lecz na znów przygiętych do ziemi karkach ludzi pracy. Trzeba powiedzieć jasno: nowe z zasady samozwańcze elity już uwiera demokratyczny kostium. Oni nawet nie ukrywają swego gustu do metod państwa policyjnego. Mówią, że budują IV RP, lecz krok po kroku odbudowuje tę Drugą z permanentnym stanem nadzwyczajnym, administracyjną deportacją do Berezy Kartuskiej i zachętą, by wszystkie problemy socjalne rozwiązywać przy użyciu wypróbowanego narzędzia, czyli emigracji za chlebem. Ich opowiadana historia nie jest nowym pomysłem. Już kniaź Grzegorz A. Potiomkin „opowiadał" carycy Katarzynie II o tym, jak żyją rosyjscy chłopi a jej szczęśliwi poddani nad brzegami Donu. Caryca płynęła komfortową łodzią (dziś zapewne jechałaby mercedesem), a na wysokim brzegu chłopi w czystych koszulach, przed ścianami swych nowych domów witali ją radosnymi okrzykami i pieśniami. Imperatorka nie wiedziała, że domy mają tylko przednią ścianę z tyłu podpartą kołkami, która wraz ze śpiewającymi przewożona jest z miejsca na miejsce, by było wiadomo, jak dużo pod jej rządami jest szczęśliwych ludzi, którym się powiodło. Historia opowiadana to część składowa „nowej polityki historycznej". To niby chwyt teatralny, dobry pomysł inscenizacyjny, a przecież tak naprawdę zwykłe trywialne kłamstwo. Skompromitowanie tej pseudonaukowej maskarady to jeden z ważnych warunków, by inteligencja wróciła w Polsce do swej pierwszoplanowej roli, do obrony prawdy w historii i w życiu. Tylko na tej drodze może zostać zrealizowana budowa Polski demokratycznej, w której nie tylko można, ale i chce się żyć. We wspomnianej już książce o inteligencji M. Micińska cytuje i rozwija myśl krakowskiego uczonego F. Bujaka: „Inteligent polski dałby sobie radę w Atenach Peryklesa, ale nie ma przygotowania do rozumienia wielu najbardziej nawet zasadniczych objawów życia współczesnego". Sparafrazuję tę myśl zaskakująco aktualną, jeśli my zrozumiemy, że tkwi w niej przestroga: „Inteligent polski dałby sobie radę w każdym ze współczesnych krajów, gdyby nie fakt, że jest przygotowywany tylko do radzenia sobie w IV Rzeczypospolitej, czyli nigdzie". □

Warszawa, maj – czerwiec 2012 r.

Fragment przygotowywanej do druku książki Władysława Loranca pt. *Kraj bez elit, szkic o kryzysie polskiej inteligencji,* z serii „Biblioteka Forum Myśli Wolnej".

IGNACY S. FIUT

Tadeusz Garbowski – sylwetka twórcy świeckiej filozofii z przełomu XIX/XX wieku

Od tragicznej śmierci tego wybitnego myśliciela upłynęło już ponad 70 lat. W krakowskim środowisku naukowym był wychowawcą takich wybitnych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, jak. prof. Roman J. Wojtusiak, prof. Włodzimierz Szewczuk i prof. Bronisław Ferenc. Był też jednym z myślicieli przełomu XIX I XX wieku, który rozwijał w oparciu o empiriokrytycyzm filozofię naukową oraz kulturę świecką, co nie przysparzało mu sympatii w ówczesnym środowisku akademickim Krakowa.

Życie, wychowanie i edukacja

Tadeusz Garbowski (1869-1940) urodził się w Złoczowie (Galicja Wschodnia, obecnie Ukraina Zachodnia) 15. czerwca 1869 roku, w rodzinie szlacheckiej. Jego rodzicami byli: ojciec Julian – prokurator Sądu Okręgowego w Złoczowie, a następnie radca apelacyjny i matka – Klementyna z Gryzieckich. Rodowód jego rodziny od strony ojca w linii prostej wywodził się od Zawiszy Czarnego z Garbowa. Jego dziad Marcin Tadeusz Garbowski był właścicielem ziemskim w okolicach Złoczowa. Jego matka była natomiast córką Radcy Magistratu miasta Lwowa. T. Garbowski miał również siostrę, Zofię, która urodziła się w 1865 roku, z którą łączyły go głębokie więzi emocjonalne, ale zmarła już w roku 1889 na niewydolność serca. Również stosunkowo wcześnie, bo w roku 1883, gdy T. Garbowski miał 14 lat, zmarł jego ojciec. Matka natomiast powtórny raz wyszła za mąż w roku 1886 za Polaka Jana de Kleeborna Gürtlera (Girtlera), który był prokuratorem we Lwowie, następnie awansował na Prokuratora Generalnego w Wiedniu, a w końcu na Prezydenta Senatu przy Trybunale Wiedeńskim. W związku z tymi faktami rodzina przeniosła się do Wiednia, a sam Garbowski dalszą karierę naukową również tam kontynuował. Jego matka zmarła w Wiedniu w roku 1902, została pochowana we Lwowie. Nagrobek na jej mogiłę zaprojektował sam Garbowski. Filozof nigdy nie był żonaty i prócz wyżej wymienionych osób nie posiadał żadnej bliższej rodziny.

Okres złoczowsko-lwowski

Początkowo nauki pobierał w domu, a we wrześniu 1878 r., w wieku 9 lat, wstąpił do gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie, które ukończył z wyróżnieniem 7 czerwca 1886 roku. Jego kolegami szkolnymi byli m.in. znany polityk Ernst Adam oraz późniejszy arcybiskup krakowski i kardynał – Adam Sapieha. W okresie nauki w gimnazjum zawarł znajomość z ks. prof. Józefem Watzką, z którym łączyła go przyjaźń i za-

miłowanie do piękna przyrody, szczególnie do motyli dziennych i nocnych[1]. Po otrzymaniu matury jesienią 1886 roku pod naciskiem tradycji rodzinnej wstąpił na Wydział Prawa Uniwersytetu Lwowskiego, na którym studiował do końca roku akademickiego 1889/90, osiągając celujące wyniki. Jednocześnie podczas studiów prawniczych uczęszczał na wykłady z przyrodoznawstwa i składał z nich egzaminy, m.in. do profesorów: Benedykta Dybowskiego (1833-1930), Emila Dunikowskiego (1855-1924), J. B. Szpilmana (1855-1920) i Teofila Ciesielskiego (1846-1916). W roku 1889 rozpoczął także studia na Wydziale Filozoficznym dla studiów przyrodniczych Uniwersytetu Lwowskiego, zaś w roku 1891 podjął również studia na Uniwersytecie Wileńskim. W roku 1890 miał więc za sobą 4 lata studiów prawniczych oraz 1 rok studiów na Wydziale Filozoficznym.

Okres wiedeński

W związku z faktem przeniesienia się całej rodziny do Wiednia w 1891 r., Garbowski również przeniósł się do stolicy Monarchii Austriacko-Węgierskiej. Tam też kontynuował studia rozpoczęte we Lwowie. Zmienił również podejście do tradycyjnych badań systematyki fauny opartych na obserwacjach terenowych organizmów, które rozpoczął jeszcze pod kierownictwem Dybowskiego. W Wiedniu Garbowski podjął studia przyrodnicze, szczególnie w dziedzinie zoologii, gdzie słuchał wykładów wybitnych profesorów zoologii, a następnie z nimi współpracował: Karla Clausa (1835-1899), Friedricha Moritza Brauera (1832-1904), Karla Grobbena (1854-1945) oraz Bertolda Hatscheka (1854-1941). Tam też zapoznał się z metodami najnowszych badań z zakresu morfologii i anatomii mikroskopowej. Równocześnie w wolnym czasie pracował w Narodowym Muzeum Przyrodniczym w Wiedniu, zajmując się taksonomią pod kierownictwem dyrektora tego Muzeum – Franza Brauera oraz kustosza, wybitnego entomologa – Aloisa Rogenhofera (1832-1890). W roku 1892 odwiedził wraz z K. Grobbenem stację zoologiczną w Trieście, by poznać w naturalnym środowisku życia formy fauny morskiej niemożliwe do obserwacji w warunkach sztucznych, a następnie zbierał materiały faunistyczne, głównie owadów w Istrii i Alpach. W tym samym roku Garbowski po 4 latach studiów prawniczych i dwóch na Wydziale Filozoficznym (1 rok we Lwowie i 1 rok w Wiedniu) otrzymał uniwersyteckie absolutorium i przystąpił do pisania pracy doktorskiej nt. *Materialien zur einer Lepidopterenfauna Galiziens…,* którą obronił 22 lipca 1893 roku przed komisją pod przewodnictwem filozofującego psychologa empirycznego – prof. Roberta Zimmermanna (1824-1898). Jeszcze w roku 1893 odbył podróż naukową, odwiedzając Pragę i ważniejsze centra naukowe w Niemczech, by zapoznać się z nowymi metodami pracy badawczej w dziedzinie zoologii. W Berlinie Karl August Möbius (1825-1908) – wybitny zoolog i pionier ekologii – udostępnił mu materiały tamtejszego Królewskiego Muzeum Przyrodniczego.

Po powrocie do Wiednia podjął pracę w Zakładzie Zoologii Karla Clausa – wybitnego zoologa tamtych czasów, z którym ściśle współpracował. W tym samym czasie Wiedeńska Akademia Umiejętności przyjęła go w poczet honorowych współpracowników w Komisji Badań Głębinowych na Morzu Śródziemnym, a 9 czerwca 1894 roku został mianowany na naukowego współpracownika Oddziału Zoologicznego Cesarsko Królewskiego Narodowego Muzeum Przyrodniczego w Wiedniu. Rów-

nocześnie uczęszczał także na wykłady wybitnych uczonych tamtych czasów, m.in.: Alfreda Bergera, M. Wilckensa – profesora morfologii i anatomii zwierząt domowych w Wiedeńskiej Akademii Rolniczej. Równocześnie uczestniczył także w wykładach: V. von Eberera, S. Eunera, muzykologa – Eduarda Hanslika (1825-1904), filozofa i psychologa – Wilhelma Jerusalema (1854-1923), F. Knauera, J. Schlaffera, oraz filozofów wiedeńskich: Ernsta Macha (1838-1916) oraz Adolpha Stöhra (1855-1921). Z dniem 1 listopada 1896 Garbowski objął obowiązki asystenta w Instytucie Zoologii i Anatomii Porównawczej u prof. K. Clausa, którym wtedy kierował prof. K. Grobben, zaś od 1 marca 1897 przeszedł do Zakładu Zoologii prof. B. Hatschecka, pod kierownictwem którego prowadził ćwiczenia ze studentami z morfologii i histologii oraz zajmował się utrzymaniem i katalogowaniem zbiorów. W zimowym semestrze roku akademickiego 1895/96 Garbowski pracował także w Instytucie Anatomicznym Uniwersytetu Wiedeńskiego, prowadząc badania nad embriologią porównawczą kręgowców i człowieka pod kierownictwem wybitnego anatoma porównawczego tamtych czasów – prof. Ferdinanda Hochstettera (1861-1954).

W semestrze letnim 1896/1897 Garbowski habilitował się na podstawie rozprawy pt. *Hyperienartige Amphipoden des Mittelmeeres*, a w skład jego komisji habilitacyjnej wchodzili: Gustav Tschermak (1861 -1954), F. Brauer, Julius Wiesner (1836-1919), K. Grobben i B. Hatschek. Jego wykład habilitacyjny nosił tytuł: *O istocie komórek propagacyjnych*. Wniosek komisji habilitacyjnej został zatwierdzony przez Ministerstwo Oświecenia 31 sierpnia 1897 r. Od zimowego semestru roku akademickiego 1897/98 rozpoczął wykłady w Uniwersytecie Wiedeńskim w charakterze docenta, pełniąc dalej funkcje asystenta w Zakładzie Zoologii prof. Hatscheka. W tym samym roku zajmował się również urządzeniem Sekcji Zoologicznej na Wystawie Jubileuszowej w Praterze wiedeńskim, a w 1899 r. wygłosił cykl wykładów popularnych o przemianie i ewolucji gatunków. Obowiązki akademickie dzielił z wyjazdami naukowo-badawczymi w Alpy i do Stacji Zoologicznej w Trieście. W tym samy czasie prowadził również zajęcia (kolegia) z filozofii inspirowane głównie epistemologią krytyczną empiriokrytyków, głównie Richarda Avenariusa i Ernsta Macha oraz myślą ewolucyjną Karola Darwina, Jana B. Lamarcka i Ernesta Haeckla, które zaowocowały wydaniem w późniejszym okresie najważniejszej jego pracy pt. *Die Organismen und anorganische Weltbild. Erkenntnisskritische Materialien zur wissenschaftlichen Philosophie* (1910). Kolegia te miały następujące tematy: *Über das Lebensproblem – O problemie życia* (1904/5), *Über Evolutionstheorien – O teoriach ewolucji* (1905/6), *Der Mensch als Naturerscheinung – Człowiek jako zjawisko naturalne* (1906/7) oraz po przeniesieniu się do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński *Organismus und Gesellschat – Organizm i społeczeństwo* (1907/1908).

Okres krakowski

Dzięki zabiegom prof. Antoniego Wierzejskiego (1843-1916), który kierował w owym czasie Katedrą Zoologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Garbowski został zatrudniony na Wydziale Filozoficznym od 1 października 1898 roku. Na posiedzeniu Wydziału Filozoficznego 27 sierpnia 1898, po referacie Wierzejskiego prezentującym sylwetkę przyszłego badacza w sprawie przeniesienia habilitacji Garbowskiego z Wiednia do Krakowa, członkowie Wydziału jednogłośnie przychylili się do podania zainteresowanego i od 1 października 1898 rozpoczął on swą działalność w Uniwersytecie Jagiel-

lońskim w charakterze asystenta i docenta. Zakład Zoologii, w którym Garbowski podjął pracę, mieścił się w Collegium Physicum w Krakowie przy ul. św. Anny 6. Po roku 1900 Wierzejski stopniowo podupadał na zdrowiu, nowy docent zastępował go na wykładach oraz zajęciach laboratoryjnych. W letnim półroczu 1898/1900 pracował jeszcze w Uniwersytecie Wiedeńskim, a w latach 1902-1903 odbył podróż naukową do Lipska, Jeny, Würzburga, Heidelbergu, Paryża, Neapolu i Roscoff – jako stypendysta Akademii Umiejętności w Krakowie. Od roku 1900 Zakład Zoologii profesora Wierzejskiego wzbogacił się o drugiego docenta – dr. Michała Siedleckiego, który w 1898 powrócił z kilkuletniej podróży naukowej z zagranicy. W roku 1903 prof. Wierzejski rozpoczął starania o profesury dla obydwóch docentów w Ministerstwie Oświecenia w Wiedniu i dekretem z 15 listopada 1903 roku obydwaj krakowscy docenci zostali mianowani tytularnymi profesorami nadzwyczajnymi ze wszystkimi prawami, ale bez przysługującego tym profesorom ustawowego uposażenia.

W latach 1906-1911 Garbowski buduje własną pracownię do prowadzenia badań biologicznych i psychogenetycznych, która zmieniała trzykrotnie lokalizacje, by w końcu przenieść się z ul. Kopernika do Collegium Novum. Od roku 1905 do 1909 Garbowski podjął wykłady z zoologii dla rolników, które wcześniej prowadził Wierzejski. W roku 1909 zarówno Garbowski, jak i Siedlecki stali się rzeczywistymi profesorami w dziedzinie zoologii decyzją Ministerstwa Oświecenia w Wiedniu.

W roku 1911 otrzymał Garbowski również tytuł profesora nadzwyczajnego filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim i objął jedną z dwóch funkcjonujących tam katedr filozofii. Kierujący tymi katedrami profesorowie filozofii: ks. dr Stanisław Pawlicki oraz dr Maurycy Straszewski z końcem roku akademickiego 1909/10 przeszli na emeryturę i obydwie katedry nie miały kierowników. Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego jedną katedrę zaproponował Tadeuszowi Garbowskiemu, a drugą Witoldowi Rubczyńskiemu. Po otrzymaniu nominacji profesora nadzwyczajnego (z tytułem i charakterem profesora zwyczajnego), Garbowski miał obowiązek wykładania 5 godzin filozofii tygodniowo oraz prowadzenia seminarium filozoficznego. Miał również w tym okresie pracować nad studium pt. *Fryderyk Nietzsche a prawda biologiczna*. Przejście Garbowskiego na stanowisko Kierownika Katedry Filozofii i nagła zmiana zainteresowań spowodowała kryzys w jego badaniach naukowych i właściwie przez 20 lat nie opublikował żadnej znaczącej pracy naukowej[2]. Jedynie w tym okresie ukazuje się jedna jego praca naukowa – *La philosophie de l´Homogénisme* w 1915 r. W tym okresie rozwija się w jego poszukiwaniach badawczych z pogranicza filozofii i biologii koncepcja nowej dziedziny badawczej – p s y c h o l o g i i z w i e r z ą t, czyli właściwie – z o o p s y c h o l o g i i. Ta nowa nauka miała na celu dostarczanie argumentów naukowych, opartych na badaniach empirycznych, na rzecz jedności duchowo-świadomościowej świata istot żywych i człowieka.

Po zakończeniu I wojny światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości na swoim posiedzeniu Rada Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego przedłożyła umotywowany wniosek, by powołać pracownię w związku z seminarium filozoficznym, którym kierował, gdzie można by prowadzić badania empiryczne nad genetyką i rozwojem funkcji psychicznych, instynktów, objawów pamięci, użytkowania doświadczeń i intelektu, ze szczególnym uwzględnieniem tzw. niższych

ustrojów (organizmów i ich grup). Była to dziedzina nauki dotąd w Polsce nieznana, kojarząca zagadnienia teoretyczno-filozoficzne z empirią i eksperymentem. Miała ona łączyć się – jak sugerował Garbowski – najściślej z problemami poznania i filozofii syntetycznej (…), dla psychologii zaś stanowić podobną podstawę jak ewolucjonistyczna morfogeneza i filogeneza dla anatomii"[3]. Dopiero jednak, a był to okres zamętu po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, 5 maja 1922 roku postanowiono zwrócić się do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Rzeczypospolitej Polskiej z projektem utworzenia przy Oddziale II Seminarium Filozoficznego pod kierownictwem prof. Tadeusza Garbowskiego pracowni psychogenetycznej, jako integralnej części Oddziału, który otrzymał w związku z tym nazwę – „Seminarium Filozoficzne, Oddział II wraz z Pracownią Psychogenetyczną", a Ministerstwo dekretem z 22 sierpnia 1922 zatwierdziło ten projekt. W roku akademicki 1919/20 Garbowski na życzenie Rady Wydziału Filozoficznego przejął obowiązki wykładów z dziedziny zoologii w zastępstwie za prof. Władysława Siedleckiego, który wyjechał do Wilna, wykłady wraz z demonstracjami, które prowadził również w roku akademickim 1920/1921.

Pełną aktywność filozoficzną w Uniwersytecie Jagielloński Garbowski rozpoczął w roku 1916/17, kiedy w semestrze letnim tego roku akademickiego wygłosił wykład nt. „Nietzscheanizm a ewolucjonizm", zaś w roku akademickim 1917/18 w semestrze zimowym przedstawił kolejny wykład na temat „Ciała i duszy". Do wykładów o treściach filozoficznych wrócił następnie w semestrze zimowym w roku akademickim 1925/26, przedstawiając wykład pt. „Psychogenetyka", w którym zakreślił koncepcję ewolucyjnego pochodzenie świadomości u zwierząt oraz człowieka. Następnie w semestrze zimowym roku akademickiego 1932/33 przedstawił nową dziedzinę badań naukowych – zoopsychologię, a tytuł wykładu brzmiał „Zoopsychologia porównawcza". Z kolei w roku 1933/34 w semestrze zimowym omawiał współczesne koncepcje ewolucji w wykładzie pt. „Ewolucjonizm", zaś w ostatnim roku swej pracy zawodowej, tj. w latach 1934/35 w semestrze zimowym wygłosił wykład – „Zoopsychologia eksperymentalna". We wszystkich tych wykładach rozwijał swój system filozoficzny, zbudowany w okresie studiów i pracy w Wiedniu, gdzie pod wpływem drugiego pozytywizmu – empiriokrytycyzmu, ale i poglądów Augusta Comte'a i Herberta Spencera – zbudował zarys własnego systemu filozoficznego, powstałego w oparciu o krytykę idealistycznych i dualistycznych elementów teorii poznania Kartezjusza oraz Immanuela Kanta, inspirowany ówczesnymi odkryciami w biologii, fizyce i chemii oraz o żywe dyskusje ze współczesnymi mu filozofami przyrody, który ogólnie można nazwać p s y c h o m o n i z m e m, a w wymiarze metafizyczno-ontologicznym – h o m o g e n i z m e m.

W latach 1928/29 przebywał w szpitalu i na urlopie zdrowotnym, a w roku 1935 przeszedł na emeryturę, co nastąpiło dokładnie 31 sierpnia tego roku. Na emeryturze dalej zajmował się pracami z dziedziny psychologii zwierząt i uczestniczył w badaniach, które prowadził Zakład Psychogenetyki powstały na bazie Pracowni Psychogenetycznej w roku akademickim 1925/26. W latach 1935-1939 Zakładem tym kierował prof. Michał Siedlecki. Zaś po odzyskaniu niepodległości w roku 1945 Zakład ten został odbudowany, a na jego czele stanął – uczeń profesora Garbowskiego, jeden z najmłod-

szych międzywojennych doktorów habilitowanych (docentów) w UJ – prof. dr hab. Roman J. Wojtusiak (1906-1987), który kierował nim bez przerwy do 1976 roku. W tym czasie Zakład ten kilkakrotnie zmieniał swoją nazwę, by oddawać zmiany w rozumieniu różnic między pojmowaniem psychiki i zachowania zwierząt oraz ludzi. Już w roku 1946 jego nazwę przemianowano z Zakładu Psychogenetyki na Zakład Psychologii i Etologii Zwierząt, następnie na Zakład Etologii i Psychologii Zwierząt, a następnie na Zakład Zoopsychologii i Etologii Zwierząt. W latach 1948-1975 był jednostką organizacyjną w stopniu Katedry na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UJ.

Podczas ogólnie znanej akcji po wkroczeniu Niemców do Krakowa (*Sonderaktion-Krakau*) przeciw profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego 6 listopada 1939 roku, Garbowski, choć nie miał obowiązku jako już emerytowany profesor, zgłosił się na spotkanie z władzami okupacyjnymi i został aresztowany, a następnie wywieziony wraz z innymi uczonymi krakowskimi do Sachsenhausen, gdzie zmarł z wyczerpania i biegunki głodowej 9 stycznia 1940 roku[4]. W czasie pobytu w obozie na kilka dni przed śmiercią wygłosił jeszcze wykład do współwięźniów poświęcony historii idealizmu[5]. Garbowski zginał w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen pod Oranienburgiem, tym samym, w którym zmarł również prof. M. Siedlecki i przebywał prof. R. J. Wojtusiak do czasu wyratowania go stamtąd przez Karla von Frischa – kolegę ze studiów i współpracownika z czasów wiedeńskich i niemieckich, który w roku 1973 wraz z Konradem Z. Lorenzem i Nico Tinbergenem otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny za stworzenie m.in. nowej dziedziny nauki – etologii[6].

Ogólna charakterystyka elementów filozofii T. Garbowskiego

Garbowski dokonuje właściwie pełnej krytyki filozofii krytycznej Kanta twierdząc, ze jego metoda krytyczna oraz zbudowana w oparciu o nią synteza filozoficzna rezultatów poznania nie doprowadziła do pełnej krytyki umiarkowanego racjonalizmu (natywizmu) Kartezjusza i umiarkowanego empiryzmu J. Locke'a. O ile empiryzm Locke'a jest otwarty na krytykę, to koncepcja aprioryzmu I. Kanta milcząco przyjmuje dualizm kartezjański (duszy i ciała), i odrywa aprioryczne formy naoczności (oglądu świata) oraz systemu kategorii od doświadczenia i realnego myślenia. Buduje więc pomiędzy tymi dwiema warstwami podmiotu poznającego (ciałem i duszą), czyli warstwami oglądu empirycznego i poznawania racjonalnego świata „ścianę", niemożliwą do przekroczenia. W konsekwencji skutkuje to w dialektyce transcendentalnej antynomiami czystego rozumu, a więc agnostycyzmem „odprzedmiotowionym" oraz założeniem istnienia niepoznawalnej „rzeczy samej w sobie". Taki model filozofii nie może – zdaniem Garbowskiego – służyć współczesnym naukom przyrodniczym, bo prowadzi je nie do właściwej metodologii szczegółowych nauk przyrodniczych, ale psychologicznych i społecznych, rozbicia przedmiotu ich poznania. Nie znaczy to, że krytyczne podejście Kanta jest niewłaściwe, lecz musi być doprowadzone do końca i zmodyfikowane, ale i wzbogacone o refleksję w duchu ewolucyjnym, która ukaże ewolucję rozwoju pojęć, aparatu percepcji oraz kategorii myślowych używanych w poznaniu. Garbowski przypomina, że wcześniej już G.W. F. Hegel pokazał, jak pojęcia ewoluują, ale nie zgadza się z nim w kwestii jego dialektycznego me-

chanizmu ich tworzenia i odnoszenia się do świata. Uważa, że to nie pojęcia szukają swego przedmiotu, ale że przedmiot szuka własnych pojęć i zadaniem filozofii jako szeroko rozumianej metodologii nauki oraz metafilozofii jest właśnie poszukiwanie dla nowo odkrytych przedmiotów poznania (danych w impresjach) adekwatnych pojęć. Ich prawda nie ma absolutnego charakteru, jak miało to miejsce u Hegla, ale bardziej relatywny, wynikający z porównywania przedmiotów poznania oraz związanych z nimi pojęć, które powinny być formalnie, tj. w reżimie logicznym i matematycznym analizowane i porównywane, by uchwycić ewoluującą i zmieniająca się rzeczywistość przedmiotową poznawalnego świata w relacji do rozwijającego się i ewoluującego podmiotu poznania. W tym nowym modelu filozofowania inspirowanym empiriokrytycyzmem, sądzi krakowski myśliciel, ważna jest nowa metafizyka fenomenalistyczna, która umożliwia tworzenie, odkrywanie i testowanie pod względem formalnym i empirycznym nowopowstałych pojęć i kategorii myślowych. Za takim podejściem filozoficznym stoją nowe odkrycia w dziedzinie fizyki, geometrii, logiki i matematyki nieklasycznej, ale i nauk biologicznych, fizjologii, genetyki i psychologii, a nawet socjologii.

Na gruncie współczesnej filozofii, prócz postulatów empiriokrytycyzmu, pozytywistycznych idei A. Comte'a, ewolucjonizmu filozoficznego zastosowanego przez H. Spencera do oglądu fenomenu życia i społeczeństwa, ważne są poglądy woluntarystyczne Schopenhauera i intuicjonizm oraz sposób rozumienia ewolucji życia przedstawiony przez H. Bergsona. W tym miejscu uważa, że witalizm H. Driescha inspirowany myślą Kanta, ale i Bergsonem jest błędnym kierunkiem rozwoju refleksji filozoficznej w naukach biologicznych, bo nie ma żadnego pokrycia w doświadczeniach empirycznych. Myśl filozoficzna A. Schopenhauera i Bergsona jest nadto przykładem konstruktywnym przekraczania ograniczeń rozumienia apriorycznośći, które na filozofię oraz nauki szczegółowe narzucił idealizm królewieckiego filozofa. Potrzebna jest jednak w perspektywie rozwoju współczesnych nauk biologicznych w duchu ewolucjonizmu nowa metafizyka fenomenalistyczna, która umożliwi badaczom rozwój zarówno pojęć, jak i kategorii (meta-pojęć), które byłyby warunkami wszelkiego możliwego doświadczenia empirycznego, tj. jego opisu oraz intelektualnej, czyli teoretycznej interpretacji. Metafizyka ta jest z gruntu nauką filozoficzną, opartą na spekulacji, korzystającą z apercepcyjnych hiperfenomenów, dających możliwość i szansę przybliżonego (probabilistycznego) ujmowania prawdy o poznawanych przedmiotach, jednocześnie wykluczając tworzenie pojęć absolutnych, czy wskazywanie absolutnych kryteriów prawdziwości wiedzy o transcendentnym świecie. Świat bowiem i człowiek nieustannie się rozwijają i ewoluują, a prawda w danym momencie jest właściwie przystosowywaniem się (adaptacją) organizmów żywych oraz człowieka do ich warunków życia, które aktualnie panują w środowisku, i pozwalają im ekonomicznie i produktywnie egzystować.

Konieczna jest tez zmiana założeń epistemologicznych dotyczących genezy apriorycznośći zmysłowej oraz intelektualnej istot żywych oraz człowieka. W świetle ewolucji są one wynikiem dziejowego doświadczenia organizmów i człowieka, przekazywanych dziedzicznie i przez socjalizację oraz uczenie się jednostek żyjących w społecznościach, w przypadku człowieka w przestrzeniach jego duchowości, stanowiącej jego pamięć zbiorową, ze-

wnętrzną względem indywiduów, które one mogą przetestowywać jednostkowo w osobistym doświadczeniu i przekazywać wyniki te w procesach komunikacji do owej duchowości zbiorowej. Garbowski sądzi więc, że należy odrzucić tezę Kanta, że apriorycznoś człowieka, stanowiąca jego świat intellegibilny, ma nadprzyrodzone pochodzenie. Twierdzi, w świetle znanych mu badań na życiem istot żywych i człowieka, że cała aproryczność organizmów, włącznie z matematyką, geometrią i logiką wywodzi się z doświadczenia zmysłowego, dziedziczonego przez pokolenia i przekazywanego dziedzicznie, umożliwiającego procesy apercepcyjne, a w praktyce możliwość ewolucji wiedzy i jej służenia do praktycznego i skutecznego działania, właściwie adaptującego człowieka i inne istoty żywe do świata ich życia. W przypadku zwierząt funkcje te pełnią instynkty, gromadzone, testowane i wykorzystywane, będące źródłem „przedwiedzy", a w przypadku człowieka – wyrażają się jako sprawcze dążenie do wiedzy przez ludzi, ich wrodzony popęd poznawczy. Poznanie jako integralna część fenomenu życia – według Garbowskiego – było więc postrzegane jako ewoluujące odzwierciedlanie (odbijanie „świata w siebie", w celu orientowania się w nim i adaptacji do aktualnie panujących tam warunków życia), co powinno służyć dalszemu jego utrzymaniu w formie osobniczej i gatunkowej, a więc ekonomizacji istnienia, które głosiła empiriokrytyczna zasada ekonomizacji myśli.

Jeśli chodzi o założenia ontologiczne tak sformułowanej teorii odbicia (odbijania) przez akty poznania wiedzy o świecie w podmiotach poznających, to musi nastąpić całkowite odrzucenie dualizmu oraz idealizmu obiektywnego i subiektywnego i materializmu ontologicznego. Wszystkie te kierunki rozwiązań ontologicznych są albo źródłem w procesie poznania zdwajania świata i dzielenia na fragmenty oraz przeciwstawiania go sobie w układzie przedmiotowym, albo redukcjonizmu do poziomu czysto duchowego lub czysto mechanicystycznego. Świat zatem, jeśli jest „rzeczą samą w sobie", to przypomina w obszarze analizy ontologicznej model monadystyczny G. Leibniza, zbliżony pod wieloma względami do wcześniej przedstawianych przedsokratycznych – np. Talesa, Anaksymandra, Anaksagorasa i nawet Parmenidesa. Pod pewnymi względami również do Arystotelesa, u którego monady nie są do końca „zamknięte", ale w procesie doświadczania empirycznego są w stanie wyglądać (wglądać) do świata względem nich transcendentnego, kształtując na danym etapie rozwoju jego ontologiczny obraz. Świat ten jest jednak ze swej pierwotnej natury życiowej jeszcze czymś więcej: jest złożony z równych sobie, a więc jednorodnych elementów, o jakich mówili empiriokrytycy. Nie są one ani materialne, ani duchowe, ale posiadają w sobie możliwości przyjęcia na poziomie ontologicznym (po poznawczej ontologizacji) tych ich form istnienia, choć na poziomie bycia ich pierwotna natura jest jednorodna, a więc na tym poziomie świat zewnętrzny ma charakter monistyczny (jak u empiriokrytyków), który to pogląd niektórzy nazywają psychomonizmem[7].

Monistyczne postawy idealistyczne oraz materialistyczna, ale i dualistyczne, wspierają w człowieku jako jednostce o rodowodzie przyrodniczym i biologicznym zarówno pod względem ciała i duszy postawy egoistyczne kosztem altruistycznych, a w życiu zbiorowym jednostek, czyli społecznym, postawy związane z egoizmem zbiorowym, który przeradza się w totalitaryzm. Uzasadniany

jest on z poziomu transcendentalnego religią lub ideologią, co musi rodzić ograniczenie wolności człowieka, a w praktyce wyzysk duchowy i materialny jednych przez drugich oraz ograniczać możliwość rozwijania jego własnego intelektu i harmonijnego istnienia jako jednostki ze swym środowiskiem naturalnym i społecznym. Tak więc ani kapitalizm, ani socjalizm nie jest moralnie poprawną drogą ustroju – twierdził Garbowski w pierwszym wykładzie z socjologii w UJ, wygłoszonym w semestrze zimowym w roku akademickim 1907/1908 pt. „Organizm i społeczeństwo" – społecznego dla rozwoju człowieka w wymiarze duchowym oraz materialnym[8]. Potrzebna jest zatem „trzecia droga", w której człowiek najpierw będzie rozwijał się intelektualnie i duchowo, a potem materialnie i społecznie, a św. Franciszek jest tego ponadczasowym wzorem. Warunkiem takich przemian był w opinii myśliciela pełny dostęp każdego człowieka do edukacji i pracy, które rozwijają ducha indywidualnego i zbiorowego narodu, wyrażającego się w tzw. „akcji zbiorowej", czynie, rzeczywistym solidaryzmie społecznym, u podstawy których leży twórcza praca zarówno materialna jak i duchowa. Warunkiem takiej zmiany społecznej jest najpierw rewolucja edukacyjna i moralna w jednostkach ludzkich, by następnie mogły tworzyć zdrowe społeczeństwo demokratyczne, kierujące się rzeczywistymi standardami sprawiedliwości społecznej. Tak widział rzecz jasna drogę wybicia się narodu polskiego na niepodległość. □

[1] Wyrazem tej przyjaźni było nadanie odkrytej przez Garbowskiego w okolicach Szkła pod Lwowem formie motyla – pazia królewskiego (*Papilio machaon* L.) nazwy *Papilio Watzkai Machaonis nova aberratio*. Por. T. Garbowski, Beitrag zur palaearctischen Rhopalocerenkunde, „ Soc.Ent." 1891, R. 5, nr 20-22, s.154-156, 164-165, 169-170.

[2] Z. Fedorowicz, R.J. Wojtusiak, *Tadeusz Garbowski jako zoolog, (1869-1940).* Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Memorabilia Zoologica 24, Wrocław – Warszawa – Kraków - Gdańsk 1972, s. 21-22.

[3] Ibidem, s. 22.

[4] Z osobistej rozmowy z prof. Romanem J. Wojtusiakiem, który również był aresztowany w czasie tej akcji niemieckiej przeciw profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego wynikało, że prof. T. Garbowski nie musiał przyjść na to spotkanie, jako emerytowany pracownik UJ. Jednak pomimo to Garbowski zgłosił się dobrowolnie na spotkanie, gdyż poczuwał się do obowiązku uczestniczenia w nim, bo miał poczucie przynależności do naukowej kultury niemieckiej, a właściwie austriackiej, z którą był ściśle związany, nie przypuszczając, podobnie jak prof. Wojtusiak, że w czasie rządów faszystowskich uległa ona tak ogromnemu zwyrodnieniu. Natomiast prof. Bronisław Ferens, który wywodził się ze Śląska Cieszyńskiego, pomimo że był pracownikiem UJ, nie zgłosił się na to spotkanie, bo znał z doświadczeń pogranicza rzeczywisty obraz stosunków panujących w ówczesnych Niemczech, a ponadto został zmobilizowany. Ostatecznie wyjechał z Krakowa i zataił swoje związki z UJ, podejmując jednocześnie pracę jako kreślarz w zakładzie prywatnym, co pozwoliło mu uniknąć pobytu, a może i śmierci w obozie koncentracyjnym. Wszystkie te wiadomości zdobyłem w czasie pisania pracy magisterskiej z dziedziny ornitologii w Zakładzie Zoopsychologii i Etologii Zwierząt UJ pod kierownictwem prof. B. Ferensa, którym kierował prof. R. J. Wojtusiak w latach 1970-1972.

[5] Z. Fedorowicz, R.J. Wojtusiak, *Tadeusz Garbowski jako zoolog (1869-1940),* op. cit., s. 27.

[6] Po informacji o Nagrodzie Nobla dla K. von Friscba, K. Lorenza i N. Tinbergena, na wtorkowym seminarium zakładowym w listopadzie 1973 roku prof. R. Wojtusiak wyraził opinię, że jeśliby nie wojna i okupacja, tragiczna śmierć nestora etologii, trudny okres dla tej dyscypliny w Polsce po wojnie, to ta nagroda powinna była zostać przyznana prof. T. Garbowskiemu i jego współpracownikom, którzy o wiele wcześniej zbudowali fundamenty tej nauki i rozwinęli ją już jako samodzielną dyscyplinę naukową prawie 30 lat wcześniej.

[7] Por.T. Garbowski, *Die Organismen und anorganischen Weltbild. Erkenntnisskritische Materialien zur wissenschaftlichen Philosophie*, Verlag von Johann Ambrosius Barth, Leipzig 1910.

[8] Por. T. Garbowski, *Organizm a społeczeństwo. Biologiczne podstawy socjologii*, Wydawnictwo Koła Filozoficznego UJ, Kraków 1908.

Pedagogia przyspieszenia i spowolnienia

Doświadczałem na swojej skórze wszystkich dyscyplin pedagogicznych, których gałęzie stosują rodzice w wychowywaniu dzieci, posługując się przy tym procesie różnymi odmianami ładu. Najbardziej utrwaliło się w mojej pamięci posłuszeństwo behawioralne oparte na metodzie nagród oraz kar. I to było w czasie mojej młodości prawem naturalnym, albowiem zawierało w sobie autentyczny obraz życia od poczęcia do śmierci. Jeśli za jakieś występek nie otrzymałem kopa od rodziców, to z nawiązką uczynili to koledzy, Los a nawet Bóg. Po długiej męczącej drodze „wychowania bez stresu", która pozostawiła we mnie odruch wymiotny, dzisiaj stanęło na tym, że kop rodzicielski, czyli mój, grozi katowi, czyli mnie, więzieniem.

W tym procesie odbywającym się wedle praw pozytywnych nasuwają się pytania skądinąd – jak do tego doszło, dlaczego tak się stało i czy aby zmiany dobrych praw na lepsze są równie skuteczne. Otóż, pedagodzy i psycholodzy odkryli całkiem niedawno, że dziecko to też człowiek i przynależą mu się wszelkie prawa naturalnie ludzkie (prócz obowiązków, bo te niezmiennie obarczają dorosłych). Nazywa się to humanistyczną psychologią wychowawczą. Dlatego dzisiaj każdy antyoprawca powinien być humanistycznym psychologiem. Niestety, praktyka mówi co innego. Co prawda w dalszym ciągu istnieje behawioryzm, ale w zasadzie należałoby go unicestwić. Nauka posługująca się metodami kar i nagród powinna być karalna (sic!). Pewnie to niebawem nastąpi, ale póki co pedagogia humanistyczna nie bardzo sobie radzi z kopaniem dorosłych przez dzieci oraz dzieci przez dzieci.

Nieco prostacko powyżej przedstawiony obraz mógłby być zdecydowanie wzbogacony. Np., że szeregi kryminalistów tworzą przede wszystkim tzw. dzieci niechciane, czyli socjopaci z przymusu, którym obce jest zjawisko rodzicielskiej miłości. W rzędach zaś neurotyków i psychotyków, leczonych w szpitalach, ustawiają się tzw. samoluby, czyli psychopaci wychowywani przez nadwrażliwych rodziców stosujących wobec swoich pociech normy zwiększonej wydajności, żywcem przeniesione z urzędowej walki szczurów.

Ale... Przejdźmy do rzeczy.

Co począć z „prostactwem liczb", które będąc inspiracją moich rozmyślań czynią człowieka durnym i bezradnym? Oto jak wygląda obecnie zjawisko stosowania prohibicji behawioralnej.

Z wielu źródeł można dowiedzieć się, że w tym roku wydamy ponad 3,1 mld złotych na polskie więzienia. Dzienny koszt utrzymania jednego skazanego wynosi 63 złote. Zakładów karnych w Polsce jest 86, a przebywa w nich około 100 tysięcy ludzi...

Nie wiem, jak się z tymi liczbami zmierzyć. W promilach, procentach czy w psychologicznych stenach?

Zdecydowałem się – niczym zauroczony „polski imbecyl", jak mawiają o nas Anglicy – odwołać się do kraju wzorcowego we wszystkich działaniach, czyli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej (Wielka Brytania nie należy do związku krajów modelowych. Na co wskazują choćby jednostki stosowane na wyspach W.B. do pomiarów świata). Cóż, liczby amerykańskie powaliły mnie z nóg. USA w postępowaniu penitencjarnym należy do państw przodujących. Słowem, jest dobrze, ale jakby inaczej. Powiększa się bowiem w Stanach liczba więzień i osadzonych. W czasie prezydentury Clintona za kratami pozostawało ponoć pół miliona więźniów. Mało. Ale, ale... Od 1992 r. zabito, ot tak, przy byle okazji, 170 tys. Amerykanów przez Amerykanów (czyli więcej niż łącznie w I wojnie światowej, w Korei oraz Iraku). Ostatnimi laty coś w tej materii niby się polepszyło, ale nikt w USA nie wie, jak do tego doszło. Wielu wybitnych obserwatorów twierdzi, że to dzięki legalizacji aborcji i zwiększeniu liczby mundurowych oraz wypełnieniu kryminalistami zakładów karnych po brzegi. Te nadbrzeża jednak jawią się nieco mniej ciekawie, kiedy dowiadujemy się, że wzrosła liczba prywatnych więzień, w których osadzonych jest 8% wszystkich przestępców, tzn. 128 tys. ludzi. Jeżeli „imbecyl polski" umie jeszcze liczyć, to z prostego równania wynika, że w USA siedzi obecnie 1,6 mln więźniów. Co więcej okazuje się, że prywatne „karniaki" to jest doskonały interes. Otóż największa prywatna firma więziennicza w USA jest notowana na nowojorskiej giełdzie. Corrections Corporation of America dysponuje 66 placówkami i miejscami dla 91 tys. więźniów. Jej przychody w 2011 r. sięgnęły 1,73 mld dol., a zysk netto przekroczył 162 mln dol. Jak właściciele CCA osiągają tak wysokie dochody? Nie wiem. Ale brzmi to co najmniej zajmująco i szokująco.

Ciekawa zatem wydaje się ocena tegoż problemu przez socjologów, psychologów i pedagogów. W ich opiniach najbardziej powalający jest spokój i chłód wypowiedzi. *Take it easy*. (*Que sera, sera, whatever will be, will be, the future`s not ours to see. Que sera sera. What will be, will be*.) Ale mimo wszystko, co z tego ambarasu wyniknie? Nie mam zielonego pojęcia, ale cytuję tych, którzy już wiedzą:

„Niezliczona jest rzesza młodych mężczyzn (głównie w wieku 18-35 lat), którzy odsiadują długie wyroki, zostawiając przyjaciół, rodziców, a przede wszystkim swoje dzieci bez opieki. Wydaje się, że w Stanach wkrótce do głosu dojdzie pokolenie dzieci, których ojcowie widziani są tylko przez kraty. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaki efekt może przynieść dorastanie w takich warunkach. Nigdy bowiem wcześniej w historii Stanów Zjednoczonych tak wielu młodych ludzi nie widziało swoich rodziców w innym ubraniu niż we więziennym uniformie.

Problemem jest także koegzystencja w więzieniu naprawdę groźnych przestępców, dopuszczających się morderstw czy gwałtów, wraz z drobnymi złodziejami czy sprawcami

(często nieumyślnymi) wypadków drogowych. Po pobycie w podobnym środowisku, powracająca do swego rodzinnego miejsca osoba ta już nigdy nie będzie taka sama. Zwolnionym nie zapewnia się większej pomocy, rzadko udaje się im rozpocząć nowe życie w zgodzie z prawem. Socjologowie amerykańscy zastanawiają się, jaki wpływ wszystkie te czynniki będą miały na rozwój USA w kolejnych latach. Czy pokolenie dzieci skazańców jest w stanie urzeczywistniać amerykańskie marzenia, czy też Stany Zjednoczone czeka powrót do kryzysu lat 90?" (M. Przybył, 2011, zebrane z artykułów z „The Time")

Trudno takiemu prostakowi, jakim jestem, wyobrazić sobie, co się może stać w najbliższych latach z wychowaniem amerykańskich dzieci w duchu psychologii humanistycznej, ale mam takie przekonanie, że warto pomyśleć humorystycznie – tzn. humanistycznie – o Al-Kaidzie czy Guantanamo w Stanach.

Rozbawiony tymi „prostackimi liczbami" do łez, widząc zaledwie czubek własnego nosa, chodzę tak sobie po różnych księgarniach, biorę co mi w ręce wpadnie i nagle… oczy zaszklone przecieram. Odkrywam jakby kolejne oblicze toczącej się wokół mnie przemiany społecznej, o której także nie miałem bladego pojęcia. (Oby kolejne odkrycia miały nieco lepsze twarze Światowida.)

Carl Honoré (é – accent aigu). Czy ktoś w Polsce słyszał o Carlu Honoré?! (*Mężu Zaszczyconym*). Może kilku psychologów humanistów ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, ale reszta, w tym ja – nic. A facet napisał 310 stron „Pochwały powolności. Jak zwolnić tempo i cieszyć się życiem". Od razu mi ulżyło. Przynajmniej na chwilę.

Carl urodził się Szkocji, ale jest Kanadyjczykiem, bo Edmonton uważa za swoje miasto rodzinne. Niemniej ukończył Uniwersytet w Edynburgu. Z wykształcenia jest historykiem i romanistą. W końcu został dziennikarzem. Wyjechał do Brazylii, by zająć się „dziećmi ulicy". I znów powrócił do Europy, później wyjechał do Argentyny. Jednak co najważniejsze dzielił się swoimi przemyśleniami pisząc choćby artykuły w *Economist*. Obecnie mieszka i pracuje w Londynie. Ma żonę, dwójkę dzieci i pisze książki.

Po zapoznaniu się z informacjami zaczerpniętymi z biografii Carla mój dobry nastrój nieco się obniżył. Zaś po przeczytaniu „Pochwały powolności" nabrałem podejrzeń, że książka ta nie trafi do 1,6 mln w USA i 100 tys. więźniów w Polsce, ale do wielu narwanych zapaleńców na pewno. W każdym razie, moim skromniutkim zdaniem, warto się pochylić nad wieloma spostrzeżeniami Carla Honoré, aby zastanowić się, czy można jeszcze gdzieś uciec, czy walczyć jak bitni Anglicy o Falklandy zwane Malwinami. Czy w kulturze konsumpcji da się spowolnić życie, aby pochylić się nad naszymi dziećmi, który to rodzaj zbliżenia nabierze znaczenia miłości? A tym samym zmniejszymy odsetek socjopatów i psychopatów? No, nie wiem, ale… (Dla „polskiego imbecyla" i mężnego szkotokanadyjczyka wiara czyni w dalszym ciągu cuda i cudeńka.)

Nie znalazłem trafnych polskich pojęć do przekładu angielskich słów użytych przez Carla, jak „slow" czy „slowly", ale należy domniemywać, że chodzi tu „zwolnienie tempa życia wówczas, kiedy zwyciężając niezmiennie gonisz za każdym wyścigiem szczurów". Sprawa jest bardzo poważna, albowiem chodzi tu o ludzi poczętych.

Otóż, Carl Honoré zwraca uwagę czytelnika na fakt, że nie bez wpływu na urodzenie dzieci o podwyższonej skłonności do dysrównowagi procesów fizjologicznych, która staje się gruntem dla częstszego utrwalenia agresji u poczętych, są – wiadomo – rodzice. Jednakże inicjowanie „toksyczności" partnerów powstaje o wiele wcześniej niż psychologom i biologom się wydawało. Zaczyna się od tego, że dobrze usytuowani materialnie ludzie chcą być młodą parą w dość zaawansowanym wieku. 35-40 lat. I dzisiaj staje się to normą. Skutki jednakże decyzji o posiadaniu dziecka w tym wieku mogą okazać się wielce kłopotliwe. I są. Nie ma bowiem w biologii nic za darmo. Fasadowość nie ma zbyt wiele wspólnego ze zmęczeniem materiału, stale zapisywanym w notatniku genetycznym.

Co więcej – stajemy się społecznością jedynaków. Starsi partnerzy rzadko decydują się na drugie dziecko. Kalkulacje w tym względzie są dosyć proste. Przede wszystkim martwimy się o siebie. Będąc pod stałą presją kultury konsumpcji robimy wszystko, by zachować idealne zęby, włosy, ciało, wakacje, dom i wreszcie urodzić genialną, cudowną pociechę. Lęki i frustracje są paliwem napędowym działania „średniaków". Zaś ich dziecko staje się nośnikiem ułudy dorosłych, ich niespełnień i wyobrażeń o sukcesie. „Starzy" rodzice są niemal doskonałymi przykładami na żywotność Kantowskiego imperatywu kategorycznego i obowiązku. Jednakże profesor Immanuel nie może być w pełni usatysfakcjonowany. Przymus „starych" rozpływa się bowiem w działaniach neurotycznych, nadwrażliwych, a widoczne niepowodzenia dziecka budzą w jego opiekunach ogromne poczucie winy. Okazuje się bowiem, że mało doświadczeni, acz wiekowi rodzice mają tak małe doświadczenie wychowawcze, iż sami wymagają opieki. Nie cenię sobie młodych terapeutów, ale być może są oni idealnymi towarzyszami dla „sfatygowanych" rodziców. Paradoks? Nie pierwszy i nie ostatni: osiemdziesięcioletnie pary młodych pouczane są przez wnuczków. Piękne. Nazywa się to SKS.

Czego możemy oczekiwać po małych egoistach wychowywanych przez czterdziestoletnich frustratów przesuwających normy zwiększonej wydajności z biura do domu? Wszystkiego.

Co mówi Carl – zwolnij, zajmij się dzieckiem, przestań szczurzyć. Albowiem…

Już czeka na nas kolejny paradoks. Dzieci perfekcyjne są mniej kreatywne. Nie uczą się samodzielnego myślenia i podejmowania ryzyka. Między teoretycznymi sprawdzianami testowymi a naturalnymi próbami szybkiej oceny ryzyka w życiu leży głęboka różnica, jaką stworzyliśmy dla algorytmicznych komputerów, do których się upodabniamy, a biologicznym myśleniem człowieka, które opiera się o prawidła heurystyki z ogromnym marginesem do błędnie podejmowanych decyzji.

W tym układzie rzeczy już nienarodzone mają przechlapane. Albowiem…

Kolejny paradoks. Wraz z dobrobytem globalizacji wzrasta stopień rywalizacji, co pociąga za sobą ogromne poczucie niepewności w miejscu pracy o każde stanowisko; a to sprawia, że **boimy się o nasze dzieci**, **o ich nienajlepsze przygotowanie do życia, chcemy, by stały się geniuszami**, ale biologia ma to życzeniowe myślenie w głębokim poważaniu. W zastraszającym tempie rodzi się coraz więcej Eugeniuszy, rentierów

żyjących na koszt „starych". Niestety (!) znaczny odsetek „szczurzych dzieci" posługuje się tymi samymi kategoriami myślowymi, co ich opiekunowie. Nie wiem, jak zwykle, co ten kolejny etap wyścigu przyniesie, ale przedstawienie trwa. Oto wypowiedź 15-latka, która także powaliła mnie na kolana.

„Niedawno pisałem próbny egzamin dla gimnazjalistów. Wspólnie z kolegami zastanawialiśmy się, czy był on potrzebny, czy nie. Według mnie jest sporo argumentów, które przemawiają za zasadnością takiego egzaminu.

Po pierwsze – już wiem, jak będzie wyglądał prawdziwy egzamin na zakończenie gimnazjum.

Po drugie – nauczyłem się dobrze rozplanowywać czas, który był nam dany na napisanie testu. Pragnę zauważyć, że nowością jest dla nas kodowanie prac. Jestem przekonany, że po takim próbnym egzaminie na pewno nie będę miał z tym żadnych problemów. Warto podkreślić, że każdy egzamin niesie ze sobą stres, ale też mobilizuje do nauki. Miałem więc okazję do solidnej powtórki. Kolejnym argumentem przemawiających za tym, że warto pisać próbny egzamin jest fakt, że mogliśmy ocenić swoje możliwości i umiejętności.

Nie jestem przekonany co do formuły tego egzaminu. Uważam, że test powinien być czytelniejszy, a nauczyciele powinni objaśniać polecenia. Pragnę zauważyć, że nie każdy pisał egzamin z tego profilu, w którym czuł się lepszy. Na zakończenie przytoczę wyniki badań przeprowadzonych w młodszych klasach naszej szkoły: 91% uczniów opowiedziało się za, a 9% – przeciw. Wśród moich rówieśników wszyscy byli za, natomiast wśród opinii społecznej 86% badanych uważa, że taki egzamin jest potrzebny. Prasa i media twierdzą, że »egzamin był trudny jak na możliwości 15-latków, ale organizowanie takich sprawdzianów jest zasadne«".

Dla dobrego samopoczucia tego zacytowanego powyżej „gienusza", jemu podobnych naukowcy określili nową funkcję i rolę, jaką pełnią dla nich „starzy". Hyperrodzicielstwo, albo bardziej obrazowo „rodzic śmigłowiec" (np. mama helikopter). Tata wisi nad głową swojej pociechy przez 24 h na dobę niczym stary, acz uwspółcześniony wizerunek anioła stróża. Niestety, te super samolociki udają jedynie perpetuum mobile, co – jak się pewnie niedługo okaże – grozi wielką katastrofą.

Cóż, dla świeckiego spokoju, tyle.

I aż tyle! Z niemałym strachem przedstawiłem te dwa skrajne obszary, w których poruszają się lub będą się poruszać nowonarodzeni. Straszne. Przy życiu trzyma mnie w dalszym ciągu magiczne życzenie: oby znalazł się dla moich dzieci jakiś ciekawszy i normalniejszy labirynt życia. Może się znajdzie? Choćby ten z *Trzech panów w łódce (nie licząc psa)* Jerome'a K. Jerome'a, angielskiego pisarza, który nigdy nie nazwał swoich bohaterów „imbecylami", za co jestem mu bardzo wdzięczny. Powiem nawet więcej – JKJ wskazał mi sposób, w jaki należy wychowywać urokliwych pomyleńców. Korzystam z jego (Jego) sugestii do dzisiaj. I pomyśleć, że opowieść została wydana w 1889 r. Polecam! □

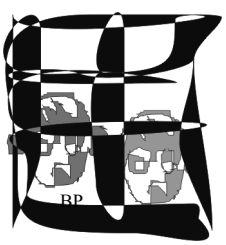

W poszukiwaniu motywacji i sensu...

Sens życia polega na tym, aby cieszyć się z niego i czynić je piękniejszym dla każdej ludzkiej osoby – tak o sensie ludzkiego istnienia wypowiedział się David Ben Gurion.

Wczytuję się w tę mądrą myśl i zastanawiam się nad wydarzeniami, które odbiły się mocnym piętnem w moich myślach, innych ludzi i całych społeczeństw podczas ostatniego roku, miesięcy i dni opisywanych i przekazywanych przez prasę światową, wypełniając także anteny radiowo-telewizyjne. Myślę o tym także w aspekcie własnych doświadczeń, człowieka, który pamięta okres II wojny światowej, jej przebieg, zbrodnie, i często bezsensowne towarzyszące jej zdarzenia, zwiększające okrucieństwo śmierci.

Dzisiaj w erze pokojowego rozwoju społeczeństw wydawałoby się, że bezsens śmierci powinien przestać istnieć, a państwo stanowiąc odpowiednie prawo dla swoich obywateli powinno w maksymalny sposób zabezpieczyć obywateli przed takimi wydarzeniami. Bo na wojnie, jak twierdzą niektórzy, dozwolone jest wszystko to, czego zabrania tradycja, wiara, dotychczas wypracowane przez społeczeństwo zasady i moralność jednostki. Dozwolone są czyny, za które w konsekwencji odpokutować można jedynie własną śmiercią! W czasie wojny skutki działań zbrojnych są przerażające. Giną nie tylko żołnierze, lecz także cywile, którzy też stale narażeni są na bezsensowną śmierć. Straty są ogromne. Zniszczeniu ulega infrastruktura kraju – zakłady, budynki, drogi, mosty… Ludzie po wojnie nie mają gdzie żyć, gdzie mieszkać. Nad jeńcami niejednokrotnie wróg się znęca bez żadnej litości, bardzo często bez powodu. Wielu ludziom odbierała ona zmysły i niszczyła wnętrze – duszę. Stąd budziła ona chęć odwetu i zemsty na wrogu, rodziła także odwagę. W żołnierzach niejednokrotnie wzrastała gotowość do walki o ojczyznę. W walkach żołnierz zdobywał wielkie doświadczenie i widział sens i bezsens… śmierci. Ocierał się o nią codziennie. Ale okazywało się, mimo nastawienia psychiki i prezentowanej odwagi, że zabicie drugiego człowieka nie było dla nikogo, kto posiadał zasady moralne i czystą duszę, takie proste. Niełatwo o tym działaniu, nawet o śmierci wroga zapomnieć. Wielu po tym fakcie przeżywało szok, po prostu do tego się nie przyzwyczajali, choć musieli nadal walczyć z wrogiem i spotykać się z jego śmiercią i śmiercią... najlepszych, najbliższych im przyjaciół walczących ramię w ramię.

Rozważając dalej problem sensu i bezsensu śmierci, pamiętam o historycznej dacie 22 lipca1944 roku, kiedy Niemcy rozpoczęli likwidację getta warszawskiego,

w którym zgromadzono 500 tys. Żydów. Wywożono ich transportami do Treblinki, gdzie kończyli życie. Zginęło ich 300 tys., w tym Janusz Korczak z dziećmi.

Pytam o sens takiego działania.

Przychodzi mi także na myśl 68 rocznica Powstania Warszawskiego (1.08-3.10.1944) – żołnierzy Armii Krajowej – przeciwko okupującym stolicę kraju wojskom niemieckim i tamte bezpowrotnie stracone zastępy 16 tysięcy ofiar – żołnierzy AK – i ponad 20 tys. rannych. Lecz te ofiary ponieśli żołnierze w walce z wrogiem zewnętrznym. Do tych ofiar należy doliczyć żołnierzy 1 Armii WP walczących o Pragę i samych mieszkańców stolicy.

Na tamtych już historycznych walkach i ich ofiarach chciałbym poprzestać, podkreślając, że tamta walka człowieka przeciwko człowiekowi może być uznana za usprawiedliwioną, sensowną i niezawinioną przez nas, jako naród, a śmierć – sensowną i bezsensowną – przyniosły wraz z najeźdźcą wrogie człowiekowi idee. Natomiast to, co zdarza się w społeczeństwach od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku – powstawanie różnego rodzaju grup i organizacji terrorystycznych – napawa mnie, doświadczonego przez wojnę i przemoc człowieka trwogą. Nie mieści mi się w głowie, że śmierć może być w okresie pokoju… tuż obok mnie, mieć ludzką postać i zatrute nienawiścią serce. Że może być ubrana w ubiór turysty-pasażera, siedzieć obok mnie w kinie, wsiadać ze mną do autobusu i samochodu. Że może brać jako zakładników dzieci, śmiać się w restauracji i korytarzu szkolnym, lecieć wraz ze mną rejsowym samolotem, stać i czekać na peronie dworca kolejowego, być w wagonie metra, czy na stadionie… I pytam, dlaczego jest obłudnie zadawana w imię Boga, wiary i jakichś interesów określonych grup?

Ostatnie wydarzenie na lotnisku Sarafowo w bułgarskim kurorcie Burgas nad Czarnym Morzem, gdzie zamachowiec – młody człowiek samobójca – wysadza ładunek powodując śmierć co najmniej pięciu osób, a ponadto 27 zostało rannych, jest znakomitym przykładem tego, co może terroryzm.

Do zamachu doszło niespełna godzinę po tym, jak na lotnisku wylądował samolot z Tel-Awiwu. Zamach w Burgas miał miejsce w 18 rocznicę tragicznych ataków na centra żydowskie w Buenos Aires w Argentynie w 1994 roku.

Ale są i inne wcześniejsze przykłady bezsensowności śmierci ludzi w ostatnim roku. Oto, jak pamiętamy, w Oslo doszło do wybuchu w dzielnicy rządowej, w której zginęło 8 osób, a dziesiątki zostały ranne. Bombę podłożył Norweg Anders Breivik. Było to rok temu, 22.07.2011 r. Potem, korzystając z zamieszania, udał się na wyspę Utoya, gdzie podczas zlotu młodzieżówki Partii Pracy rozstrzelał 69 ludzi. Ciśnie się pytanie o powód – sens i bezsens śmierci. 1.07.2012 roku w amerykańskim mieście Aurora w stanie Colorado, mężczyzna – James Holmes ubrany w kamizelkę kuloodporną i maskę p/gazową – rozpala gaz łzawiący i morduje strzałami z karabinu 12 osób, rozstrzeliwując je. Jest wiele osób rannych. Tylko, dlatego, że karabin zacina się, nie ma więcej ofiar. Mężczyzna podczas mordu ma na czerwono ubarwione włosy. Kpi sobie z ofiar, pokazując swym czynem, że jest nad światem ludzi… On decyduje o ich istnieniu!

To upiorny taniec śmierci, na premierze najnowszego obrazu filmowego *Batmana* – pt: *Mroczny rycerz powstaje*.

Ciśnie się pytanie o powód – sens i bezsens śmierci!

Nie sposób zrozumieć, co może powodować ludźmi, którzy żyją w wolnym kraju, nie doświadczyli, nie przeżyli ogromu tragedii wojennej. Ludźmi, którzy mogliby w swoim zakresie na lepsze zmieniać świat, ciesząc się niepodległością, wolnością, słońcem, wodą, lasem, przestrzenią i przyrodą i… innym człowiekiem.

Myślę, że wobec bezsensu śmierci można przyjąć jedną z dwóch postaw. Bezsens śmierci można przyjąć w sposób pasywny, ulegając jej, godząc się na nią. Można też przyjąć postawę aktywną i twórczą, chcąc nadać jej sens, mimo że sama w sobie jest ona bezsensowna. Ale człowiek jest zdolny nie tylko do odczytania sensu w tym, co sens posiada, ale także do nadania sensu temu, co samo z siebie – go – nie posiada.

Częstym czynnikiem powodującym ludźmi jest niewiedza, choroba psychiczna, wyobcowanie w otoczeniu, czy też wpływ innych ludzi i środowiska, a także… motywy wyznaniowe i groźne idee nawołujące do przemocy. A bywa też, że chcemy dotrzeć do drugiego człowieka, chcąc zrozumieć motywy jego czynów i planów postępowania oraz działania, lecz jego dusza posiada zakątki, do których nie jesteśmy w stanie nigdy dotrzeć. I wtedy, najczęściej, jest za późno na zatrzymanie tańca śmierci!

W tym miejscu pragnę Czytelnika jeszcze raz skierować do motta na początku niniejszego felietonu i zachęcić do chwilowej zadumy nad sensem i bezsensem śmierci.

Jerzy Hyrjak

IZABELLA DEGEN

Sen
(z obrazu S. Dali)

zawisła w bezładzie
monstrualna poczwara
jak worek
szczelnie wypchany sennością
unoszący się
w przestrzeni surrealizmu
pozbawionej grawitacji
porywa się i wznosi
opada na kule
ugina się pod ciężarem
przez uchylone usta
ciężko oddycha
zwinięta skóra czoła
zawisła na nosie

serce mistrza
ogarnia przerażenie
sen kamienie w obrazie
...
klucz do niego ma Freud

Wąsy

wąsy Salvadora Dali
jak czułki motyla
w erekcji intelektualnej
jak anteny rajskich ptaków
uśmiechają się starohiszpańsko

Wiersz z almanachu *Pożegnanie Lata Pisarzy i Artystów 2011*, wyd. STAL, Kraków, 2011

ANDRZEJ J.R. WALA

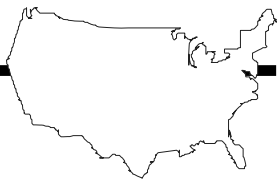

Co w trawie piszczy?
– czyli domysły politycznego dyletanta

Co tu napisać o zbliżających się wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych i jeszcze np. o szansach obu kandydatów?
Kiedy specjalistą w tej materii nie jestem. Nie będę więc prognozować, no, najwyżej mogę podomyślać się, kogo i dlaczego wybrać może *Idiot America.* Tym z Państwa, którzy trwają w zachwycie nad „moim" krajem, pragnę wyjaśnić, iż ten srogi pejoratyw, czy wręcz epitet, to tytuł książki nestora amerykańskich żurnalistów, genialnego Charlesa P. Pierce'a, który – parę lat temu – zdobył się był na sypnięcie rodakom prawdą w oczy. Ale do rzeczy.

Nie zamierzam udawać neutralnego obserwatora. Czuję sympatię do Baracka Obamy; popieram jego nadludzki wysiłek zorganizowania wreszcie powszechnych ubezpieczeń; cieszy mnie, że jest wykształconym prawnikiem, ba, profesorem prawa; lubię słuchać go, bo – w porównaniu ze swym poprzednikiem – jest złotousty. Martwi mnie jednak, iż od kiedy siedzę w tym kraju „jajogłowi" mają przechlapane, więc i Barack z nimi. Bush, który przemawiał z miną idioty i z takimiż sensem i elokwencją – to był „swój chłop". Każdy baran, z bogobojnych stanów środka Ameryki, kapował o co mu idzie i wierzył święcie w powtarzane oszustwa Cheneya, cichego mentora Georga *Dablju.*

Teraz, kiedy do wyborów zostały trzy miesiące, wielu poplecznikόw prezydenta Obamy ma mu za złe, iż nie wypełnił swych obietnic: reforma imigracyjna nieruszona; kryzys ma się tak, jak się miał; procent niezatrudnionych rośnie; deficyt Stanów się powiększa!

„Marny ten prezydent" – powiadają do mnie polonijni demokraci – „skoro nie potrafi nic konkretnego zrobić!"

Jeśli bywam wciągany w rozmowę o Obamie, serwuję zwykle swym rozmówcom gorzką prawdę: „Moi panowie, czy zechcielibyście wziąć pod uwagę, że najszczytniejsze plany demokratycznych kandydatów biorą w łeb po konfrontacji z tymi, którzy naprawdę rządzą tym krajem? Czy wielkie korporacje pozwolą komukolwiek na dokonanie drastycznych zmian? Bush był człowiekiem koncernów naftowych i przemysłu zbrojeniowego, i posłusznie wykonywał ich dyrektywy co do Iraku i Afganistanu. Ale i ród Bushów miał z tej podłej awantury własne korzyści. Obama odziedziczył po nim przerażający deficyt i rozbestwione, upadłe banki. Tu trzeba by Heraklesa do wyczyszczenia stajni Augiasza, a «nasz» Obama jest zmuszony, by ostrożnie kunktować z rozwścieczonymi, opluwającymi go republikanami, układać się z przemysłem zbrojeniowym, a i tak wy-

zywają go od «socjalistów»! Miejcie, panowie, rozum! Ta cała banda idiotów, która wierzy w *inteligent design*, tak samo uwierzyła w konieczność restrykcji Patriot Act, w mur berliński... pardon, ten wzdłuż Rio Grande, i ona zagłosuje na «swojego» mormona, tego ćwierćinteligenta, Mitta Romneya. To czy zdajecie sobie sprawę, co będzie dalej? Ten Święty Dni Ostatnich – nomen omen – da następne ulgi podatkowe multimiliarderom i wszechpanującym korporacjom, wykończy Middle Class, a Blue Collars nakaże harować za 8 dolarów na godzinę – czyniąc z nich kompletnych pariasów – i wtedy stanie ze swoimi drewnianymi łbami w obliczu «ostatnich dni» Ameryki... Wiem, że Obama też musi kombinować: a to ubić Osamę, a to innego al-kaidowca, bo na to czekają «patrioci» z Teksasu i Arizony, ale przynajmniej pragnie, żeby ten kraj miał się lepiej. No i – panowie – ciągle możemy mieć nadzieję, że jak wygra Barack, to ten *visa waiver* dla Polaków jakoś się w Kongresie prześliźnie, a przecież wam tak na tym zależy!".

Takie to bywają „nocne Polonusów rozmowy".

Jest prawdą, że *constituents*, czyli wierni wyborcy Obamy stają na głowie, by swojemu herosowi zapewnić sukces wyborczy. Jest prawdą, że amerykańska lewica – jak np. znakomity telewizyjny, polityczny *showman*, Bill Maher – sowicie dotuje kampanię wyborczą prezydenta. Ale wystarczy małe potknięcie Baracka, jego niezręczny manewr, by pogrzebać szanse. Lata temu szlachetny baptysta Carter i „nasza chluba", doradca prezydenta, Zbigniew Brzeziński, pragnęli szybkim ruchem wybawić z opresji pracowników – zajętej przez Irańczyków Chomeiniego – ambasady amerykańskiej w Teheranie. Diabli wzięli nie tylko całą akcję sił specjalnych, ale w efekcie reelekcję Cartera. A był to czysty, nieszczęśliwy przypadek. Oby nie przydarzył się Barackowi!

Powiem szczerze czytelnikom „Forum Myśli Wolnej" (tytuł mnie upoważnia!), że wolę mieć do czynienia z „uliczną profesjonałką" niż z polityką. Choć nie należę do entuzjastów „spiskowych teorii politycznych czy dziejowych" i martwią mnie wygłupy pana Macierewicza, to w szambie politycznym Ameryki dostrzegam wiele niewytłumaczalnych znaków zapytania. Michael Moore, lewicowy reżyser dokumentów filmowych, pokazywał nam w swoim „Fahrenheit 9/11" minę i zachowanie Georga W. Busha po otrzymaniu wiadomości o uderzeniu w World Trade Center. Moore szydził z inercji i – jakoby widocznej – bezradności naczelnika sił zbrojnych. Ale do dziś nie wiemy, co się wtedy naprawdę stało, a Bush... miał minę spokojną i nieprzeniknioną.

Czy od temperatury płonącej benzyny lotniczej może zawalić się wieżowiec z betonu i stali, zaprojektowany na możliwość kolizji z dużym samolotem? Czy strażacy, ratujący pracowników niższych pięter WTC, mieli halucynacje słysząc szereg wewnętrznych wybuchów? Czy pionowe „osiadanie" płonących wież nie prezentowało się jak „burzenie kontrolowane"? Czemu zawalił się – równie pionowo – budynek centrum nr 7, skoro nie został uderzony ani przez samolot, ani przez padające wieże? Gdzie są szczątki samolotu, który uderzył w Pentagon? Dlaczego nie ma śladu po ogromnych silnikach z tytanu, jednego, bodaj niekompletnego ciała pasażera? Gdzie są kawałki – niechby rozrzucone

w obszarze kilku mil – samolotu, który spadł w Pensylwanii. Tego publika amerykańska nigdy nie zobaczyła i nie domagała się, by zobaczyć, ogarnięta psychozą strachu i podbechtana do zemsty... na Iraku!

Oczywiście, to co tu poruszam może być urojeniem, paranoją podejrzliwych i nieufnych przeciwników byłego prezydenta. Zwyczajnie, nie chce się wierzyć, by ktoś miał być tak bezwzględnie nieetyczny, by dla celów wywołania bezsensownej wojny posłużyć się morderstwem bez mała trzech tysięcy współobywateli. Lecz czy nie mieliśmy w historii „spalenia Reichstagu przez komunistów", co okazało się kłamstwem, obliczonym na specjalny efekt polityczny? Czy Franklin Delano Roosevelt nie posłużył się prowokacją wobec Japończyków, by wywołać atak na Pearl Harbor i mieć pretekst do wojny?

Jestem przerażony możliwością bodaj cząstkowej prawdy tych domysłów i nie życzyłbym sobie dożyć chwili, w której miałyby okazać się faktami. W listopadzie pójdę głosować na Baracka, bowiem – być może naiwnie – sądzę, że nie jest to człowiek całkowicie pozbawiony etycznego kręgosłupa. □

JAN KIRSZ

Jak jesienne liście...

Zawieszeni na słonej kropli
po zimnym dotyku czasu
który obudził się przestraszony
dla tych
którym na strunie zdarzeń
tak pięknie grał
ale struna pękła
zbyt szybko
urwało się życie...

liście jesienne
odrywają się od ciał
swoich żywicieli
umierają
żyjąc tak krótko
ich zapach
cieszył zielenią
teraz odejście
pachnie rdzawym kolorem

KRZYSZTOF ŁOJEK

*
* *

Nowy dzień
czyste płótno
na sztaludze.
Namaluję
blask szczęścia
iskrę nadziei
mrok rozstania.

Pejzaż do kolekcji

Wiersze pochodzą z almanachu *Pożegnanie Lata Pisarzy i Artystów 2011*

JERZY J. KOLARZOWSKI

Wędrujące numinosum

Profesor Michał Tempczyk, filozof nauki, którego książki popularyzowały teorię chaosu, zajął się buddyzmem, który od wielu lat stanowi jego osobiste doświadczenie. Autor praktykuje medytację, miał kontakt z zen, odwiedzał retrity buddyjskie (spotkania modlitewno-kontemplacyjne z udziałem mistrzów duchowych tej religii) w różnych wspólnotach związanych ze szkołami buddyzmu w Tybecie.

Jego monografia stawia sobie ambitne zadanie przekazania syntetycznej całości wiedzy o tej niezwykłej rozwijającej się przez tysiąclecia doktrynie religijnej. Czy istnieją jakieś szczególne przesłanki, które powodują, że znawca najnowszych osiągnięć nauk fizycznych i filozof powinien skierować spojrzenie na odległy w sensie czasowym i geograficznym przekaz? Koincydencja zdarzeń w świecie fizycznym, ich występowanie w postaci sfer większego czy mniejszego uporządkowania materii to jedynie zewnętrzne przejawy opisu tego, czego w swej różnorodności nauczają buddyści. Istotnie buddyzm inspirował Hindusów, Chińczyków, Koreańczyków, Japończyków – niemal całą daleką Azję, a dziś trafia do Ameryki Północnej i Europy. Czy jednak zmieni postrzeganie nas samych i sposób widzenia dotychczasowych tradycji religijnych i kulturowych? Znaczenie świętych ksiąg ludzkości niekiedy może przejawiać się wyłącznie w tym, że pewne treści przenoszą poza obręb kultury macierzystej, pomagając w rozbudowywaniu i przekształcaniu ich tak, by mogły zaistnieć w innych centrach cywilizacji.

Czy różnorodne nauki buddyjskie mogą być porównywane z historią europejskiej filozofii? Czytelnik bardziej obeznany z problematyką buddyjską może zadać pytanie: na czym polega specyficznie filozoficzne spojrzenie na buddyzm? Czy buddyzm przez niektórych uważany za doktrynę bardziej filozoficzną niż religijną wyczerpuje znamiona filozoficznego systemu? Rosyjski badacz buddyzmu Fiodor Szczerbacki poświęcił tym zagadnieniom monumentalne dzieło. W jednym z tomów jego opracowania odpowiada na tak postawione pytania poprzez zestawienie w postaci dialogów nauczania poszczególnych mistrzów w wymianie poglądów z czołowymi myślicielami naszego europejskiego kontynentu: z Kantem, Wittgensteinem i innymi postaciami filozofii. Lektura Szczerbackiego spisana w intelektualnie inspirującej, umownej konfrontacji filozoficznego dialogu, staje się z jednej strony popisem erudycji, a z drugiej objawem intelektualnej bezsiły. Pytania i odpowiedzi w pewien sposób zawsze się nawzajem warunkują stając się skrępowaniem myśli, ograniczeniem, formą nieczułą na dążenie. Może dlatego dialog

filozoficzny od czasów Renesansu przestał być ulubioną formą wypowiedzi filozoficznej (F. Th. Stcherbasky, *Buddhist logic*, Leningrad wyd. circa 1930, [fragm. w jęz. polskim] „Indoeuropejskie sympozjum na temat realności świata zewnętrznego", przeł. M. Adamus i P. Zowisło, [w:] *Buddologia w Polsce*. Teksty pod red. J. Sieradzana, wyd. Miniatura, Kraków 1993).

Tempczyk podążył inną drogą. Pokazał buddyzm w szerokim kontekście kulturowym ludów dalekiego Wschodu, ukazując, jak ta religia nadawała ich wspólnotom potencjał siły i otwartości, pozwalając na stworzenie trwałego i zarazem elastycznego konglomeratu tradycji. Jest rzeczą charakterystyczną, że te ludy, które buddyzm przyjęły – Japonia, Korea, Chiny, dziś dzierżą palmę pierwszeństwa w rozwoju technologicznym i cywilizacyjnym.

Religii ani filozoficznego systemu nie sposób zrozumieć w oderwaniu od kontekstu historyczno-kulturowego, w którym powstały. Śledzenie przemieszczania się pewnych treści, ich peregrynacji oraz potencjału w upowszechnianiu nieznanych dotąd mitów może stać się fascynującym kierunkiem badań dla współczesnego religioznawstwa. Konkretna doktryna religijna często oddziaływuje niekoniecznie siłą bezpośredniego przekazu, ale przez transponowanie treści ukrytych, na których wyrosła.

Cywilizacyjny krąg Indii z okresu V wieku przed naszą erą, czyli w momencie pojawienia się buddyzmu, nie wyróżniał się od innych zaawansowanych kultur ani organizacją władzy, ani materialnymi świadectwami życia ludności. Wyróżniał się natomiast bogactwem niezwykłej literatury sakralnej, jej złożonością, wielowątkowością i niezwykłą wyobraźnią (Burjor Avari, *Starożytne Indie*, przekł. Ł. Müller, wyd. UJ, Kraków 2011).

Nauki Buddy, których zamierzeniem miało być przekształcenie zastałych form życia społecznego Indii poprzez wielką transformację sfery sakralnej, tylko w niewielkim stopniu odegrały zamierzoną rolę. Trafiły głównie do elit, a z czasem zaczęły przenikać do odmiennych obszarów kulturowych, zapoznając ludność Azji zarówno z własnym przesłaniem jak i z hinduistycznymi podstawami, na których wyrosły. Tendencja niektórych interpretatorów, którzy w orędziu Buddy chcieli widzieć jedynie oryginalną filozofię, nie zaś początek nowej religii dążącej do wyzwolenia i podniesienia człowieka, także z naukowego punktu widzenia nie znajduje uzasadnienia.

Można wskazać myślicieli i badaczy, którzy w paralelny sposób usiłowali uchwycić początek dwóch religii transkulturowych – buddyzmu i chrześcijaństwa. Jedni – zwolennicy interpretacji redukującej – w genezie chrześcijaństwa chcą widzieć brzemienny w skutki, wysoce niefortunny epizod żydowskiej walki narodowej i wyzwoleńczej, a literaturę nowotestamentową traktują jako synkretyczną summę całej ówczesnej wiedzy antropologicznej zawartej w przypowieściach i aforyzmach (Hyam Macoby, *Jezus i żydowska walka wyzwoleńcza*, wyd. przez F. E. Hoevelsa, przekł. A. Skoroszewska i H. Michalak, wyd. Ahrinan International, Zgorzelec 1999).

Jednak bez względu na tendencje redukcjonistyczne nie da się przekreślić cywilizacyjnego znaczenia Biblii dla kultury Zachodu ani hinduistyczno-buddyjskiego przekazu dla ludów dalekiej Azji i nie tylko dla nich. Siła nałożonych na siebie treści, ich wzajemne zespolenie, uaktywnia ich

ogromne możliwości, powodując głębsze wnikanie w kulturę i jej cywilizacyjne przeformułowanie.

Tropiąc nadal paralele – Biblia nazwana mianem Starego Testamentu stała się składową sakralnej literatury chrześcijaństwa i odegrała znaczącą rolę w okresach cywilizacyjnego rozwoju Europy. Warte pamięci są okresy, w których znaczenie ksiąg Starego Testamentu było równie istotne jak Ewangelii. W okresie karolińskiego ożywienia czytano ją jako wzorzec do stworzenia monarchii patrymonialnej na wzór zapisów o królestwie starożytnego Izraela. W okresie nowożytnym, poczynając od XVI stulecia po dzień dzisiejszy, stała się przedmiotem rozlicznych studiów hebraistycznych prowadzonych z pobudek filozoficznych, teologicznych ale też często czysto naukowych. Poza tym święte księgi Biblii, szczególnie księgi prorockie, poddane oryginalnej interpretacji stały się częścią składową sakralnej literatury islamu.

Warszawski filozof w swojej książce zajął się tradycyjnymi rejonami występowania buddyzmu, podkreślając jego walory transkulturowe. Nauka Buddy wzmogła zainteresowanie Indiami – ich przeszłością i bogatą literaturą – podobnie jak orędzie Chrystusa otwarło świat na poznanie Biblii. Tego typu spojrzenie wychodzące poza literalne odczytanie mitów otwiera współczesną humanistykę na poszukiwania treści formujących i transformujących cywilizację. Rozumienie, które w znaczącym stopniu pomaga w odbiorze książki „Buddyzm oczami filozofa", spełniając postulaty ponowoczesnej metodologii naukowej, może służyć ponownemu odczytaniu roli, jaką odegrały religie o zasięgu światowym. □

Michał Tempczyk, *Buddyzm w oczach filozofa*, PIW, Warszawa 2011, seria „plus, minus, nieskończoność".

Ks. ELIGIUSZ DYMOWSKI

Czytając Hesse`go

Ze łzami w oczach patrzyłem na jej
fotografię.
W zmęczonym umyśle krzątała się tylko
jedna
jedyna myśl:
„Już więcej się nie spotkamy. Już więcej…"
i umierał z tęsknoty jak żebrak

Wiedeń 1995

JOANNA POCIASK-KARTECZKA

jak dobrze

jest góra którą zdobędą inne nogi
jest ląd do którego przybije inna łódź
jest miłość którą opisze nie to pióro

jak dobrze rozbić namiot
w dolinie pokory

JOANNA RZODKIEWICZ

Pakujesz rzeczy

Annie Kajtochowej

chcesz zabrać jak najwięcej
czasu masz niewiele
kroplówka prawie pusta

ile bagażu zmieści się
pod powiekami?

JÓZEF KABAJ

Jan Hartman, *Polityka filozofii*, eseje

Ten zbiór esejów, popełnionych przez prof. Hartmana w różnych momentach jego filozoficznego rozwoju i w zdecydowanie różnych niekiedy nastrojach, czytałem ze zmiennymi uczuciami, od zachwytu i chęci deklarowania, że podzielam wszystko, co Autor napisał, poprzez poczucie wątpliwości, aż do uczucia zażenowania. Na początku jednak podzielę się paroma uwagami wstępnymi.

Różne bywają tradycje, lepsze bądź gorsze. Niektóre z nich odczuwamy jako krępujące, inne zaś jako wiążące; jeszcze inne dodają uroku lub wdzięku. Do urody nauki należy m. in. to, że na recenzenta powołuje się zwykle uczonego wyższego rangą. Ponieważ zaś składałem kiedyś ślubowanie, że będę przestrzegał zasad przypisanych do tego zawodu, do którego mnie przyjęto oficjalnie przed ponad 40 laty, nie powinienem wobec tego recenzować prac uczonego wyższego rangą ode mnie.

Są jednak pewne okoliczności, które tłumaczą, a może i usprawiedliwiają moją decyzję napisania kilku komentarzy do omawianego wydania. Pierwsza, że chcę się wystrzegać ocen merytorycznych względem wnioskowań profesora oraz jego tez. Pewnie mi się to zresztą nie uda... Druga okoliczność jest taka, że ów zbiór esejów nie pretenduje do roli kanonu. Trzecia zaś, że ja sam występuję tu w roli publicysty. Choć nie da się ukryć, że uczyłem niegdyś paru kolegów prof. Hartmana po fachu, także zresztą dzisiaj profesorów filozofii. Forma dyskursu, przyjęta przez Autora, zbliżona lub nawet identyczna z uprawianą przez publicystów, też – jak sądzę – usprawiedliwia moją decyzję podjęcia się tej recenzji. Usprawiedliwia mnie wreszcie poniekąd i ten fakt, że periodyk, dla którego ją piszę, nie jest zatwierdzony oficjalnie jako czasopismo naukowe. Z wymienionych powodów mam śmiałość wypowiedzieć tutaj szereg uwag. Jestem przekonany, że potrafię to zrobić *sine ira et studio*. Pamiętając i o tym, że do dobrych tradycji filozofii należy też jej rola *medicina animae*.

Na koniec tego wstępu – proszę o wybaczenie, że przydługiego, lecz jest takim dlatego, że będzie grzmiało – muszę jeszcze dodać, że moją pierwszą pracą naukową jako historyka filozofii przerzucającego się na filozofię religii (pracą dopuszczoną do druku przez prof. Kuderowicza) była właśnie recenzja książki historycznej wybitnego szwedzkiego religioznawcy Åke V. Ströma. Takie bowiem bywały drzewiej praktyki, że asystenci recenzowali na potęgę. Moja recenzja będzie miała więcej takich akcentów osobistych. Usprawiedliwiam to również osobistym – i to nader osobistym – charakterem esejów prof. Hartmana.

Refleksja nad wartościami moralnymi

Jak na filozofa – zwłaszcza zaś etyka – przystało, prof. Hartman skłania czytelnika do zastanowienia się nad tym, jak obecnie bywają traktowane wartości moralne. Weźmy np. taką sprawiedliwość. Jedno z ciekawszych pytań, jakie stawia sobie i nam Profesor, to kwestia „czy jest możliwe wykonywanie sprawiedliwości środkami przymusu" (J. Hartman, *Polityka filozofii, eseje,* wyd. Universitas, Kraków 2010, s. 37 et passim). Większość ludzi bowiem uznaje za oczywistą odpowiedź, że przymus jest wpisany w formułę sprawiedliwości. No bo jak: czy można skłonić dajmy na to złodzieja, żeby oddał swój łup po dobrej woli? W najlepszym razie – uważa się – strach przed karą za stosowanie ucisku czy innej formy gwałtu może być ratunkiem dla słabych przed przemocą ze strony silnych lub podstępnych, czyli przed niesprawiedliwością. A zatem działa tu milczące założenie, że na siłę należy odpowiadać siłą. Gdy zaś jej brak – trzeba się oddać „pod opiekę" komuś, kto dysponuje odpowiednią mocą, aby nas chronić przed krzywdą i inną niesprawiedliwością. A że nikt tego nie robi za darmo – należy zrezygnować ze swojej wolności na rzecz tego „obrońcy", służyć mu i go opłacać.

Tak więc sprawiedliwość zakładająca przymusowe egzekwowanie (aż po egzekucję), a do tego jeszcze opłacanie organów ją wymuszających, budzi wątpliwości. Choćby tylko takie, że trzeba w takich układach nią się dzielić. A wydawałoby się, że sprawiedliwość jest niepodzielna. Jest, owszem, lecz w legendzie. W „realu" zaś cieszy się nią wyłącznie ten, kto swoją sprawiedliwość narzuca innym. Jak to było choćby w *Samych swoich* Sylwestra Chęcińskiego.

Inną z kluczowych wartości – w znaczeniu klucza do szczęścia – jest, a w każdym razie wydaje się, własność. Na tym przykładzie też widać całkiem wyraźnie, jak przebiega nasz rozwój moralny, gdy chodzi o reinterpretację wartości. Prof. Hartman zwraca uwagę, że własność z definicji oznacza to, czego nie można komuś zabrać. Tymczasem powszechne jest przeświadczenie, że i owszem, można. Można zabrać np. wtedy, kiedy ktoś uzna, że „posiada za mało" (ibidem, s. 40-41). Dzieje się tak, tzn. dochodzi do owej redefinicji, zapewne w związku z tym (jak zwykle), że w każdym pokoleniu od nowa dokonuje się podział na tych, którzy wytwarzają dobra (od sadzenia ziemniaków po hodowlę bydła), i na tych, co je dzielą, ponieważ urośli w siłę w taki czy inny sposób. Prof. Hartman, tym razem w szlachetnym pędzie do absolutyzacji wartości moralnych, wydaje się jednak nie dostrzegać tutaj tej okoliczności, że aż nader często bronią „świętego prawa własności" właśnie ci ludzie, którzy weszli w posiadanie cudzego dobra z naruszeniem tegoż prawa na niekorzyść dotychczasowych jego posiadaczy; względnie ją pomija, uznawszy za marginalną. Klasycznym przykładem będą tu wojenne łupy. Z punktu widzenia poszkodowanych ta zdobycz jest przecież równoznaczna i równoważna z grabieżą.

Systematyzacja pojęć

Przykładem porządkującej funkcji filozofii w dzisiejszych czasach i takiej roli filozofów jest esej o relacji pomiędzy „filozofią matką" (określenie JK), a naukami szczegółowymi. W szczególności chodzi tu o nauki humanistyczne, takie jak psychologia i socjologia, jej dzieci nieodrodne według jednych, a wyrodne wedle drugich. Esej

ten to „Nieproszony moderator, czyli filozofowie i humaniści (s. 119-129). Konkluzja Autora, jak rozumiem, jest w przypadku tego rozważania w zupełności zgodna z moim pojmowaniem filozofii i moimi doświadczeniami. Obracam się bowiem w tym kręgu już około 50 lat. Cytuję zatem ten wniosek:

> *Filozofia jest pracą języka. Powstają w niej coraz to nowe idiomy, w których formułuje się, bardziej lub mniej celnie, powtarzające się myśli. Zdolność socjologów i innych humanistów do konstruowania takich idiomów, a więc w gruncie rzeczy ich talent filozoficzny, jest nie mniejszy niż wśród filozofów.* Itd.
>
> (s. 129).

A więc owa porządkująca rola znajduje zastosowanie także w odniesieniu do samej filozofii. Coś jak *medice, cura te ipsum*. Inaczej: *philosophia quoque ordinanda est* (filozofię również należy porządkować). U nas ostatnimi czasy tę rolę „ordynatorów" wobec filozofii, tj. odnośnie jej tematów i nadprzyrodzonych sposobów rozwiązywania problemów pełnią często biskupi Kościoła Rzymskokatolickiego.

Ignorancja neutrum, czyli metafilozofia metafizyczna

Część ta jest pastiszem rozprawy filozoficznej, a właściwie prolegomenów (przedmowy) do dzieła życia, będącego – w zamiarze – syntezą teorii poznania i teorii bytu. Na końcu zbioru będzie też coś podobnego, co do czego trudno się zorientować, czy jest na serio, czy nie. Albo i nietrudno... Autor miał kiedyś taki zamiar na serio, gdy z pełną powagą młodego adepta filozofii wstępował na katedrę z nowatorskim pomysłem ontologicznym „neutrum" jako trzeciej substancji, względnie istoty. Pomysł był zręczny, jako że słowo *neutrum* oznacza pierwotnie „ani jedno, ani drugie" i odnoszony bywa ten przymiotnik w rodzaju nijakim głównie właśnie do nijakiej płci, np. dziecka („maleństwo"). Tutaj zostaje on – ów przymiotnik w rodzaju nijakim (w dodatku urzeczownikowiony) podniesiony do rangi autonomicznego pojęcia. Okrasza się go przenośniami i powstaje pajęczyna metafizyczna, w którą może wpaść niejedna mucha. Zapominając, że w tym metafizycznym, a więc wtórnym znaczeniu wyraz ten znaczy po prostu „żadne" (z dwojga).

Przypomina mi to – *mutatis mutandis*, a więc po trosze zaledwie – analizy językowe Jana Tadeusza Stanisławskiego, mieniącego się niegdyś (w *60 minutach na godzinę*) profesorem „mniemanologii stosowanej". Z wyrazu *mniemanie* wyprowadzał on – przestawiając sylaby mające własne znaczenia – zwrot *nie ma mnie*, po drobnej zaś modyfikacji (biernik „mnie" do „mię", to z kolei do *mie*, występującego często w niedbałej mowie, podobnie zresztą jak *sie* zamiast „się") powstawał wyraz „mamienie". Myślę też, że prof. Hartman składał do druku swój zbiorek esejów z podobnym dystansem, z jakim Steven Hawking odniósł się w swojej *Krótkiej historii czasu* do teorii wielkiego wybuchu (nie widzę powodu, żeby pisać dużymi literami to określenie możliwego zdarzenia fizycznego), którą przez lata autoryzował osobiście. Albo nawet z rezerwą właściwą pokoleniom wychowanym na tradycjach krakowskich kabaretów, od Jamy Michalika po Piwnicę pod Baranami. Te wyrazy – Jama i Piwnica – piszemy dużymi literami, bo są to w danych przypadkach nazwy własne i tak je namalowano. Na czarnej dziurze zaś raczej nie ma szyldu. Podobnie na wybuchu, choćby największym, też trudno go wypatrywać.

Nadętość akademicka a Platon

Mnie też – podobnie jak prof. Hartmana – raziły togi, gronostaje i inne atrybuty dostojeństwa władz akademickich,

woźnych nie wyłączając. Nie tylko uroczyste pochody, które oglądałem jako student, lecz także napuszone wystąpienia niektórych Członków Wysokiej Rady, którym przysłuchiwałem się jako delegat młodej kadry do Rady Wydziału. Ma to zapewne jakiś związek z faktem, że moje pokolenie w znacznym procencie wychowywało się w atmosferze demokratyzacji kraju w ogóle, uczelni zaś w szczególności. Słuchałem tych wystąpień niejednokrotnie z zażenowaniem, a to z racji ich niewysokich lotów przy bardzo wysokich uprawnieniach formalnych. Szczególnie ubolewałem dlatego, że wszystko to obrażało moje wyobrażenia o Uniwersytecie oraz moją ambicję stania się jednym z pełnoprawnych członków tego zgromadzenia uczonych. Zwłaszcza zaś bolało mnie to, że byłem świadkiem brania pod uwagę względów niemerytorycznych przy głosowaniu decydującym o przyznaniu stopnia naukowego, albo o odrzuceniu takowego wniosku. Nie były to już czasy, kiedy głos delegata studentów również był liczony w takich przypadkach oraz przy zatrudnianiu i zwalnianiu pracowników naukowo dydaktycznych. Jako delegat młodej kadry nie miałem takich uprawnień, a więc mam pod tym względem czyste sumienie.

Także z innymi pozorami uczoności – aż po błazenadę – zetknąłem się już dawno i stykałem się przez 30 lat pracy na szacownej uczelni. Do rzadkości należeli tacy profesorowie jak Aleksander Krawczuk, którzy uczyli – jeśli ktoś chciał – odróżniania uczonych od naukowców. Do tej drugiej grupy sam się zaliczałem onieśmielony erudycją takich mistrzów jak Tadeusz Sinko czy wspomniany wyżej starożytnik. Co więcej, odczuwałem i nadal odczuwam pewien związek z takimi ludźmi i ich dziełami. Może dlatego głównie oburza mnie nazywanie Platona „pokrętnym satyrykiem", nad którym mieliby górować „wolni sofiści" (s. 241 et passim). Utarło się bowiem w naszej cywilizacji przeświadczenie, kultywowane w XX wieku przez powszechnie szanowanych uczonych, takich jak Władysław Tatarkiewicz, Tadeusz Kotarbiński, Maria Ossowska czy Roman Ingarden, że sofiści to byli nauczyciele uczący za pieniądze naginania i naciągania prawdy procesowej. Jako filolog klasyczny *primo voto* coś wiem o tym konflikcie bliżej i z niejednego źródła. Mimo to uważam – po części solidaryzując się ze współcześnie żyjącym środowiskiem, o którym tak przekonująco pisze prof. Hartman jako „wolnych sofistach" – że bliżej mi do tych „demokratycznych sofistów" niż do „pokrętnych profesorów", tracących po drodze do władzy znaczną część „sofistycznej cnoty". Wszak powszechne jest mniemanie, iż nie można być po części cnotliwym. Wobec tego dopisuję do fraszki Kochanowskiego, cytowanej przez Hartmana:

chwalisz się pani swą niezłomną cnotą,
a dybał kto kiedy na to-to?

taką oto własną:

niejeden z panów stał się bardem cnoty,
kiedy już odbył skutecznie zaloty.

Zadanie filozofii

Według prof. Hartmana polega ono na „wykształceniu systematycznej umiejętności intelektualnego panowania nad zgromadzonymi przez nas w toku dziejów zasobami pojęciowymi i dyskursywnymi" (ibid. s. 209).

Brzmi to niezbyt jasno. Może poza wnioskiem Autora: „Trzeba odebrać panowanie nad zasobami filozofii historykom." (ibid.). Proste? Konstruktywne? Równie jak „filozofioznawstwo" (s. 211 et passim). Chce się tylko zapytać Autora: – A czymże innym jest tradycyjna historia filozofii, jeśli nie jej właśnie znawstwem? Jeżeli nim nie jest, to nie jest też historią filozofii, tout court. Chyba że byłaby to, jak podkreśla dalej

Autor, „nowa umiejętność rekonstruowania szerokich rozeznań konceptualnych, przeglądanie całego spektrum teoretycznych możliwości w danej sprawie" (ibid.). No tak. Coś nowego (*sub sole*), coś, co „pozwoli przekazać następnym pokoleniom dorobek filozofii w postaci inteligentnej i dającej się wykorzystać" (ibid.).

A ja już myślałem, że właśnie to robię – jako historyk (jaki taki) filozofii i filolog (niezgorszy) w jednej osobie – już ponad 40 lat. Że dzięki takim jak ja istnieją tacy jak prof. Hartman, potrafiący wykorzystać (zapewne inteligentniej) to, co przekazali (nieudolnie bo nieudolnie, lecz jednak przekazali) historycy filozofii. Przekazali żywym słowem i prosto do głowy, jako że teksty filozoficzne bądź to miewają formę zawiłą, bądź to bywają tłumaczone językiem nie dzisiejszym (jak np. dialogi Platona). Osobiście nie miałem tego szczęścia, żeby przekazywać dorobek filozoficzny prof. Hartmanowi, kiedy studiował historię filozofii. W ogóle też udało mi się z tym przekazywaniem dorobku filozoficznego połowicznie, że się tak wyrażę. Część spośród moich byłych uczniów i studentów jest dzisiaj profesorami filozofii, zarówno tej historycznej jak tej systematycznej czy społecznej (w tym ostatnim zatrącającym myszką dziale – profesorami psychologii oraz socjologii). Nadto politykami i wydawcami, gdzie wykształcenie, a przynajmniej ogłada filozoficzna, może znacząco wpływać na decyzje czy rezultaty działań. Profesorami są z pewnością nie dzięki mnie, lecz pochlebiam sobie, że w niektórych przypadkach przyczyniłem się do zrozumienia tego i owego w ich pierwszym czy drugim spotkaniu z filozofią. Jest to dla mnie radością nieustającą i powodem do dumy. Szczególnie dlatego, że sam nie zdołałem stworzyć w filozofii niczego oryginalnego.

I tu się zgadzam z prof. Hartmanem, że w tej dziedzinie zrobiono już wszystko. Z pewnym zaskoczeniem przeczytałem więc jego oryginalną rozprawę o „trzeciej substancji", czyli *neutrum*. I zachwyciłem się. Wreszcie pojawił się na krakowskim gruncie (dość jałowych w sumie skałek jurajskich) ktoś, kto nie wyważa dawno otwartych drzwi. Dzięki czemu jednak jest oryginalny? Bo przeszedł z powodzeniem dobrą szkołę historii filozofii – odpowiedziałem sam sobie. Wygląda więc na to, że jeszcze kilkanaście lat temu istniała gdzieś w Polsce taka szkoła, przynajmniej jedna. Nawet wiem gdzie i nie tylko z biogramu Autora. W Lublinie. Sam poniekąd korzystałem z jej dóbr dawno temu.

Jeszcze jedna uwaga do danego rozdziału (*Wolność dla filozofii*), a w szczególności do jego zakończenia. Tej „ostatniej wieczerzy" (s. 210), czyli biesiady filozofów jakoby ostatniej, bym nie lekceważył, nawet żartem. Ani będąc wolnym sofistą, ani skrępowanym niewolnikiem arystokracji profesorskiej. Po pierwsze dlatego, że podczas niejednej biesiady, tak w starożytności jak i później, także w ramach tych zakrapianych winem, powstawało wiele pomysłów i ujęć, które z przyjemnością czytamy i wykorzystujemy ku uciesze i wzbogaceniu życia. Była też niegdyś – po drugie – taka wieczerza, zwana powszechnie ostatnią (odmalował ją m.in. Leonardo da Vinci), która stała się – jak powiadają – zaczynem formacji, z którą utożsamia się mnóstwo ludzi na świecie; choć jedni *volens*, a drudzy *nolens*.

Zdaję sobie sprawę z tego, że ta moja recenzja może się wydawać (nie bez racji) wewnętrznie sprzeczna. No bo chwalę niemal pod niebiosa Autora esejów, ale i szczypię go co nieco. Jest to zapewne związane z tym, że – jak wskazują pewne znaki na niebie i na ziemi – świat sam przez się ma taki dialektyczny sposób istnienia, że poszczególne jego fragmenty się sobie przeciwstawiają: ciepło i zimno, suchość i wil-

goć, etc. Zdania zatem, nawet na ten sam temat, również będąc elementami świata mogą się sobie przeciwstawiać. Tak też jest z opiniami, w tym z pochwałami i krytyką. W normalnym świecie, tj. w życiu poza książkowym uznajemy, że się te opinie uzupełniają. Uczenie nazywamy to – jeśli jesteśmy w takim nastroju, że dopuszczamy ten proceder – komplementarnością. Byle tylko nie grzeszyć w całej rozciągłości przeciwko zasadzie niesprzeczności, czyli pamiętać o wymogu tego samego czasu i tego samego aspektu. No i o zasadzie wyłączonego środka, np. kiedy się mówi o cnotliwości.

Z działalności filozofów – choćby tych o niepełnych, filozoficznych kwalifikacjach – którą Autor nazywa ironicznie lub nawet z sarkazmem „odchamianiem studentów", a formalnie nazywa się ją „zajęciami humanizującymi", też bym się pochopnie nie wycofywał. Inicjowane bowiem przez Sokratesa bodaj i jego Ucznia wydaje się nadal wielu ludziom – w tym i mnie – wartością niezaprzeczalną, a do tego zbożną, jak mawiają. Choćby nawet wyglądało to na syzyfową pracę, albo zadanie na miarę jednej z robót Heraklesa. Jak się jednak okazuje, wielu absolwentów studiów wyższych wykazuje się wspomnianą ogładą filozoficzną. Ci zaś, którzy się zakochali w studiowaniu historii filozofii, skutkiem czego mają w jednym palcu Platona i jego następców, okazują się zdolni nawet do wywołania „sofistycznej rewolucji" na uniwersytetach. O ile, oczywiście, takowa jeszcze się nie dokonała, tj. przed drukiem komentowanego tu zbioru esejów.

Pozbawienie się zaś tego palca, czyli wyrzeczenie się rzeczonego dorobku, i negowanie *en bloc* kultury humanistycznej, zwanej też filozoficzną, może przynieść syntezę i odnowę, ale też i spustoszenie. Osobiście jestem przeciwny paleniu traw na wiosnę. Są lepsze sposoby nawożenia, które nie niszczą wszystkiego, co w trawie żyje. Filozofii też bym nie wypalał. □

TADEUSZ GARBOWSKI

Samotność

Chory dziś jestem; tak mnie serce boli…
Nikt mnie nie koi i nikt mnie nie kocha.
Po cóż ja cierpię? I po cóż ja żyję?
Myśl jeszcze szczęścia napiera się – płocha!
Bo i ja pierś mam, i ja mam ramiona,
I moja młodość – młodość spragniona!

Ale na bladym uczonego czole
Nie prędko spoczną czyjeś ciepłe wargi,
Coby zeń ciche zcałowały bóle,
Przeczarowały w uśmiech ciche skargi…
Piorun gorączki rozpalił mi usta!
Przyszłość mnie czeka straszliwa, bo pusta.

Myślą ogarniam wszechświat ogromny,
Pod niebo duch się wyrywa skrzydlaty,
Wciąż tylko ścigam świetlane fontanny,
Zamiast przystroić życie w żywe kwiaty…
Bo jest niewolą, śmierć będzie swobodą –
Jeśli mam umrzeć, chciałbym umrzeć młodo.

Na cóż się zdała cała moja wiedza,
Dla której młode lata tracę marnie,
Gdy umysł nigdzie prawdy nie dośledza,
Gdy każda chwila podwaja męczarnie…
O, lepiej odejść i lepiej porzucić
Wszystkich i wszystko – pożegnać, nie wrócić.

Pójdę przez morze, jak białe łabędzie
W zarumienione przed świtem powietrze;
Potem – ptak błędny, na skale usiądzie
I myśli zbierze, tęskniejsze i bledsze,
Niż przed odlotem – i gdzieś nad krawędzią
Skał, pieśń zanuci ostatnią, łabędzią.

Wiersz ten opublikował T. Garbowski pod pseudonimem Leon Płaszowski w czasopiśmie „Bluszcz. Pismo tygodniowe ilustrowane dla kobiet" 1893, z dnia 13(25) maja, s. 195-196.

JÓZEF KABAJ

Zdzisław Słowik. *Na drogach polskiego dialogu, Tadeusz M. Jaroszewski, Tadeusz Mazowiecki, Adam Michnik, ks. Józef Tischner (Katowice 2012).*

Od redakcji

W recenzowaniu powyższej książki Zdzisława Słowika wyprzedził nas dwumiesięcznik *Res Humana*, który w numerze 4/2012 dał dość obszerne jej omówienie, napisane przez prof. Stanisława Obirka, a także wypowiedź osobistą i nawiązującą do pomienionej pracy oraz jej problematyki, napisaną przez Wacława Sadkowskiego, znanego krytyka literackiego, eseistę i tłumacza, obserwatora i uczestnika wielu wydarzeń minionego okresu dziejów Polski, zawierającą szereg celnych jak zwykle spostrzeżeń i sądów.

Uwagi wstępne. Rzecz jest napisana rzeczowo i prawdziwie. Wstęp piękniejszym językiem niż reszta. Jedyne, co budzi moje zastrzeżenie gdy chodzi o język, to „asymetryczne" podejście do wysokich układających się stron, tj. do Państwa i Kościoła; wyrażające się mianowicie w tym, że „państwo" Autor pisze zawsze małą literą, „Kościół" zaś dużą. Rozumiem powód w drugim przypadku, żeby odróżniać budynek (małą literą) od instytucji (dużą). Ale Państwo to też instytucja, znacznie bardziej nobliwa – mimo wszystko – niż „Państwo Kowalscy", których zwykle honorujemy w pisowni. Chodzi przecież o Państwo Polskie, które przecież nie ustępuje godnością – nawet w tamtych czasach było wszak respektowane na arenie międzynarodowej – państwu w państwie, którym był i jest Kościół Rzymskokatolicki w Polsce, główne zresztą tutaj wyznanie (nie religia, jak pisze wielu, bo religią jest w danym przypadku chrześcijaństwo).

To jednak drobiazg w zestawieniu z wartością wielu trafnych ujęć dotyczących przebiegu poruszanych w książce wydarzeń i charakterystyk prezentowanych zjawisk. Mam pewne prawo, aby tak mówić, ponieważ obserwowałem to co się działo będąc w pełni świadomym studentem w latach 60-65, chodzącym do Klubu Inteligencji Katolickiej przy ul. Siennej w Krakowie na odbywające się tam ogólnodostępne prelekcje i dyskusje, jak i na otwarte zebrania Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich przy ul. Krupniczej, gdzie występowali tacy intelektualiści jak Stefan Otwinowski, Juliusz Kydryński czy Stefan Kisielewski. Później zaś – pracując na Uniwersytecie i uczestnicząc w różnego rodzaju konferencjach – miałem kontakt zarówno z marksistami (takimi jak Tadeusz M. Jaroszewski czy Hieronim Kubiak), jak i z katolikami (Andrzej Półtawski, Józef Tischner). Była tam też – o czym mało kto dziś pamięta – opcja światopoglądowo neutralna (R. Ingarden, Izydora Dąmbska).

Szczególną cechą tej książki zaś – by dokończyć ten wstęp – jest niezaprzeczalna źródłowość, jasność i dokładność. Krok po kroku Autor przechodzi przez dokumenty mające istotne znaczenie dla stanowisk stron

dialogu (względnie tak zwanego dialogu, gdyż nie jest pewne dla mnie, czy aby nie była to wyłącznie gra pozorów), pokazując w ten sposób ich zapatrywania i stanowiska. Z tych dokumentacyjnych względów książka ta jest bardzo cenna. Powinien ją przeczytać zwłaszcza ten, komu zbrakło czasu na studiowanie encyklik i innych okólników kościelnych i tylko z grubsza – tzn. z mediów lub kazań – orientuje się co do tego, co głosili papieże od lat 60, tj. od czasów Jana XXIII, czyli co do tego, jak się przedstawia obecna „nauka Kościoła Rzymskokatolickiego"; chce natomiast wiedzieć, co sobą prezentował ten Kościół w tamtych latach i później. Jego pragmatyczne podejście do sprawy stosunków pomiędzy hierarchią kościelną a władzami państwowymi podkreśla w swojej recenzji Wacław Sadkowski, przypominając o fakcie podpisania przez Prymasa w 1950 r. ugodowego porozumienia z nimi (*Res Humana* 4/2012, s. 35–36). Dodajmy: pomimo ekskomuniki nałożonej przez papieża Piusa XII na wszystkich zadających z komunistami.

Przedmiotem książki jest sprawa dialogu pomiędzy wierzącymi a niewierzącymi i odpowiednio pomiędzy władzą duchowną wierzących, czyli Kościołem Hierarchicznym a władzami partyjno państwowymi. Co się przekłada – w książce – na dialog intelektualistów z obu stron oraz na oficjalne stanowisko hierarchów i szeregowego duchowieństwa wobec rzeczywistych kwestii i problemów współczesnego człowieka, które ta hierarchia widziała, pojmowała i przedstawiała z ambon zdecydowanie inaczej, niż tego chciały władze naciskane w tym względzie (w innych również) przez wschodniego opiekuna („suzerena"). Przy czym, zwróćmy uwagę, w orbicie zainteresowania i życzliwej w pewnym sensie (tzn. niezupełnie bezinteresownej) troski zarówno owych hierarchów, jak i władz polityczno państwowych, znajdowali się i znajdują nadal także niewierzący, których na dobrą sprawę mogłyby nie obchodzić ani kwestie doktrynalne – dogmatyczne czy ideologiczne – ani inne problemy Państwa Watykańskiego (zwanego oficjalnie Stolicą Apostolską, *Sedes Apostolorum*), jak np. z utrzymaniem kadr duchownych czy z jego powołaniem do nawracania niewiernych (np. sprzeczność programu ewangelizacji z pluralizmem). Mogłyby. Lecz tak się składa – bo taki wytworzono niegdyś układ – że władza duchowna (to nie jest bynajmniej przenośnia) kontroluje znaczną połać potrzeb i pragnień populacji w naszym regionie. W związku z tym władze państwowe, mające pretensje i tytuł do administrowania, wchodzą raz po raz w ten układ, w którym u nas przeważnie (szczególnie ostatnio) górują duchowni.

Dla pozoru współpracy tworzy się więc fikcję dialogu (por. np. s. 21 i nn. omawianej książki), w rzeczywistości natomiast toczy się bój o każdy głos i każdą decyzję zwiększającą siły lub wpływy – co na jedno wychodzi – Kościoła w naszym Kraju. Dla niepoznaki krzycząc przy tym o walce wrażych mocy z Kościołem, niczym pewien polityk schodzący z pokładu Lufthansy w obronie swojej nietykalności, jakoby zagrożonej ze strony Niemców. Pozory skłonności do dialogu tworzono w latach 60 iście imponujące. Zarówno wypowiedzi oficjalne Jana XXIII jak i dokumenty II Soboru Watykańskiego robią ogromne wrażenie. Zwało się to *aggiornamento*, czyli „uwspółcześnieniem". Najwyższa hierarchia, tj. grupa kardynałów, zdała sobie bowiem sprawę z tego, że zwykli ludzie wymuszają swoje prawo do głosu i wyboru, tj. do decydowania o swym losie w ogóle, a sposobie życia w szczególności. Uprawnienia te wymuszają m. in. nogami, tj. chodzeniem do kościoła albo zaniechaniem uczestnictwa w obrzędach. Także miedziakami dawanymi na tacę w miejsce banknotów. Dlatego to, jak sądzę, kardynał Franz

König – arcybiskup Wiednia i przewodniczący watykańskiego Sekretariatu do spraw Niewierzących – w opublikowanym w 1968 roku dokumencie *Dialog z niewierzącymi* posunął się nawet do uznania „autonomii spraw ludzi w stosunku do spraw religijnych" (przytaczam za Z. Słowikiem, dz. omawiane, s. 31-32). Cóż to znaczy? Niesłychane rzeczy! To się równa – gdyby było szczere – uznaniu, że człowiek, a zwłaszcza wierzący człowiek, ma dwoistą naturę. Że jest rozdarty, w każdym razie jego jaźń jest rozdwojona. Osobno żyje – tzn. odrębnie oraz inaczej – życiem świeckim, a osobno sprawami religii. Oznaczałoby to koniec teorii o naturalnym charakterze religijności, z którego to założenia wyciągano wniosek o nienaturalności (delikatniej: wtórnym charakterze) niewiary. Że człowiek pierwotnie jest areligijny, a dopiero wtórnie otrzymuje łaskę wiary. Oznaczałoby to również odrzucenie upowszechnionego przekonania, że niewierzący też są w gruncie rzeczy wierzącymi, z przejściowymi trudnościami z powodu ulegania złym skłonnościom. Oznaczałoby też przyznanie im prawa do niewiary, czyli konieczność zaniechania prowadzenia misji ewangelizacyjnej w kręgach niewierzących. Oznaczałoby, gdyby nie pozostało czczą deklaracją dobrej woli ze strony Kościoła Hierarchicznego.

W Europie Zachodniej to się nawet do pewnego stopnia przyjęło, ponieważ w odniesieniu do większości tamtych krajów uznanie autonomii sfery świeckiej nie było przyszłościowym projektem, lecz jedynie stwierdzeniem faktu. Wierni się sami emancypowali i sami decydowali o sposobach swojego życia. Co innego u nas. U nas w latach 60 zdarzało się, że sprzeciw Kościoła na przykład wobec upowszechniającej się praktyki stosowania środków antykoncepcyjnych przekładał się na dziurawienie prezerwatyw przez pobożnych (czytaj: posłusznych) kioskarzy. Teraz zaś wciąż jeszcze ukrywają oni pod *Naszym Dziennikiem* nieprawomyślne periodyki typu *Przegląd* czy *Forum myśli wolnej*, a niektórzy profesorowie medycyny zatrudnieni w państwowych, a więc – w teorii – świeckich placówkach, odmawiają badań prenatalnych. Taka to jest w praktyce nasza „autonomia spraw ludzi".

Uważam, że pewnych tez przytaczanych przez Autora nie można pozostawić bez komentarza, niezależnie od tego, czy się On z nimi utożsamia, albo się od nich dystansuje. Także tego najskromniejszego komentarza, czyli znaku zapytania. Taką potrzebę widzę np. w przypadku następującego zdania pewnego zagranicznego autora, odnoszącego się do sytuacji w Polsce ostatniego ćwierćwiecza XX w.: „Kościół rzymskokatolicki ma faktycznie nieograniczoną władzę społeczno-kulturową, a to dzięki swej tysiącletniej identyfikacji z narodem polskim. Żadna partia polityczna nie może liczyć na sprawowanie władzy w Polsce, nie mówiąc już o stworzeniu nowej formuły społeczno-ekonomicznej dla społeczeństwa, bez choćby milczącej współpracy z Kościołem" (tamże, s. 48; źródło w przyp. 4). Kardynał Wyszyński mówił w 1978 r. skromniej: „Kościół (…) zawsze spieszył [może: „służył"? – JK] narodowi katolickiemu i społeczeństwu, i naszemu życiu doczesnemu, swoimi doświadczeniami" (tamże, s. 47). Nie był tylko przy tym pewny, czy ta służba trwała wówczas od 9, albo też od 10 wieków (p. obszerniejszy cytat tamże, gdzie raz jest 9, a drugim razem 10 wieków).

Otóż pewne komunały nabierają znaczenia i stają się przekonaniami, jeżeli są powtarzane przez ludzi z autorytetem bądź nimbem. Jakie 10 wieków? Czy choćby 9? W XI wieku było przecież powstanie antykościelne, po którym długo jeszcze musiano wdrażać do nowych praktyk – nie szczędząc „środków bogatych" – lud przywiązany do

wiary swoich przodków. Tamten opór przeciwko nowej wierze został krwawo stłumiony. Ale jeszcze przez długie wieki ludność na pewno pamiętała, że została przymuszona do porzucenia rodzimych świętości, które zostały sponiewierane (spalone lub utopione), kiedy np. za nieprzestrzeganie postu obcinano winnym z polecenia władzy duchownej kolejno uszy, nos czy wargi. O tym się rzecz jasna nie wspomina w kontekstach dotyczących zbawiennej roli Kościoła dla Polski i Polaków. A „naród katolicki" (w domyśle: polski)? Czyżby Kardynałowi chodziło o Rzeczpospolitą Szlachecką? Nie sądzę, ponieważ widziałem i słyszałem, jak czule obchodził się z prostym ludem, z wiernymi przestrzegającymi tradycji bezwarunkowego oddania Kościołowi i noszącymi – bardziej dla Niego niż dla siebie samych – Obraz (kopię Matki Boskiej Częstochowskiej, Pani Jasnogórskiej) od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, od dzielnicy do dzielnicy. Jak zbawienną była dla Polaków rola papieży, którzy otwarcie popierali zaborców, oraz biskupów, którzy nawoływali lud do posłuszeństwa? Niewiele brakowało, byśmy zostali wynarodowieni. W szkołach zaborów pruskiego i rosyjskiego już zabroniono mówienia po polsku. Ale lekcje religii odbywały się bez przeszkód. Po niemiecku i po rosyjsku.

Wracając do kwestii identyczności czy zbieżności interesu duchowieństwa i narodu, inaczej mówiąc: do sprawy tożsamości Kościoła Rzymskokatolickiego w Polsce, pragnę podkreślić, że Autor jest w pełni tego świadomy. Dokonuje nawet charakterystycznego porównania:

„Tak jak iluzją było przekonanie o zbieżności interesów ówczesnej władzy i społeczeństwa (chociaż bywały okresy takiej zbieżności), tak nie wydaje się trafną opinia o tożsamości w tym czasie interesów Kościoła i całego społeczeństwa. Nie z Kościołem wiązało społeczeństwo odzyskanie swojej podmiotowości (…)" (tamże, s. 155).

Przytoczę tutaj także charakterystyczną wypowiedź Adama Michnika w kwestii dialogu. Był on według tego czołowego dysydenta „pułapką zastawioną przez komunistów, którzy wmawiali nam, że w Polsce są marksiści i katolicy, więc jedni z drugimi powinni prowadzić dialog dla dobra kraju" (cytuję za Z. Słowikiem, dz. cyt., s. 155).

Mój wniosek jest zaś taki, że do rozmów zabierano się i godzono się na uczestniczenie w nich pod naciskiem konieczności tworzenia pozorów dialogu, tak po jednej, jak i po drugiej stronie. Konieczność taką sprawiały okoliczności. W szczególności – oraz między innymi – okoliczności zewnętrzne, w tym zmiany polityczne (w świecie, szczególnie zaś w Europie), jak i wewnętrzne, tj. walka o hegemonię polityczną w kraju, to znaczy o „rząd dusz"; co się przekłada na decyzje o budowie kościołów czy o nauczaniu religii w szkołach, opłacanym przez ogół podatników.

Dr Zdzisław Słowik pokazuje też i zaświadcza swoją rozprawą, jak – ale przede wszystkim że – intelektualiści katoliccy byli ściśle związani z Kościołem hierarchicznym. Pamiętamy, jak klękali przed biskupami i dla okazania najwyższego szacunku – a niewykluczone że również i posłuszeństwa – całowali ich po pierścieniach. Podobnie intelektualiści reprezentujący orientację marksistowską byli niemal w zupełności uzależnieni od swoich mocodawców, tj. od władz polityczno-państwowych. Zauważmy przy tym rzecz charakterystyczną: tak po jednej jak po drugiej stronie sporu, a właściwie konfliktu, boć przecież, jak wspomniałem, była to w istocie walka o rząd dusz (por. Słowik, dz. cyt., s. 61) i niekiedy używano nawet określenia „barykada", intelektualiści z reguły przewyższali swoich zleceniodawców o głowę (albo nawet o dwie) inteli-

gencją tudzież erudycją. Spośród postaci najbardziej liczących się w trzecim etapie owej konfrontacji ideowej i politycznej (inni „szatani" też byli tam czynni) – u Z. Słowika jest to etap trzeci, przypadający na lata 1962-1980 – dyskutować merytorycznie (wraz ze swoim zapleczem intelektualnym) mogli ze sobą tacy „przywódcy" jak kardynał prymas Stefan Wyszyński oraz członek Biura Politycznego KC PZPR i premier w jednej osobie Józef Cyrankiewicz, drugi po Gomułce, a niekiedy i pierwszy, czyli przed nim. Ale ci dwaj – prymas i premier – w sam raz nie dyskutowali ze sobą, o ile mi wiadomo. Co być może jest pośrednim dowodem na to, że w gruncie rzeczy wcale nie chodziło o porozumienie się i o współpracę, lecz o ugranie swojego celu doraźnego. Bo kardynał Wyszyński spotkał się z Gomułką i wymienili między sobą swoje pretensje. Przy czym Kardynał był zdecydowanie bardziej kurtuazyjny od Gomułki, pełnego pretensji do Kościoła, jak dokumentuje Autor.

Wydaje się znamienne, że w całym niemal demokratycznym świecie społeczeństwa powierzają władzę nad sobą ludziom o inteligencji, mówiąc delikatnie, nie najwyższej. Albo inteligencji specyficznej, zdającej egzamin w walce o władzę i przy rozgrywkach dla jej utrzymania. Nawet Niemcy, słynący z roztropności oraz odpowiedzialności za sprawy państwa, wybrali kiedyś na kanclerza działacza partyjnego, którego potem wielu z nich nazywało „kapuścianą głową". My jesteśmy jeszcze w fazie „przed-obywatelskiej". Poddajemy się wytwarzanemu przez propagandę nastrojowi, popadamy w uwielbienie dla wybieranego kandydata do władzy najwyższej, a kiedy – już po wyborze – zawodzi nas ów elekt raz po raz, wpadamy we wściekłość i wyzywamy go od agentów czy tępaków. Podobnie bywa też w USA – co oglądamy w relacjach telewizyjnych. Do tego dochodzi taka właściwość, że uwielbiany raz dwa sam popada w samouwielbienie. A potem nie może uwierzyć, że stracił poparcie. Stąd chyba biorą się ucieczki tych przywódców w mistycyzm lub mistyfikację. Temu poprawianiu sobie nastroju znakomicie służy poparcie tajnych służb, względnie mocy nadprzyrodzonych, reprezentowanych przez specjalne instytucje, gwarantujące – do czasu – poparcie znacznej części społeczeństwa. To zagadnienie jednak wykracza już poza ramy, do których ograniczył swoje rozważania dr Z. Słowik. Choć też jest teoretycznym ujęciem pewnej strony dialogu społecznego. Kandydat mianowicie coś obiecuje narodowi, a po wyborze spełnia oczekiwania jedynie wąskiej grupy, tj. tych, którzy mu przygotowali zwycięstwo w wyborach. Zawiedziony naród odpowiada po upływie kadencji wybraniem kogoś innego, przyrzekającego na wszystkie świętości, że za jego rządów nie będzie korupcji ani nepotyzmu; przez co naród rozumie, że tym razem już musi mu być lepiej. Ale ci spośród narodu, którzy dochodzą do władzy, nie mają zupełnie nic przeciwko zatrudnianiu osób sobie bliskich na dochodowych posadach niewymagających nakładu pracy, jak np. zasiadanie w radach nadzorczych, tudzież przeciwko intratnym kontraktom dla swoich popleczników itd.

Kiedy mówimy lub piszemy „Kościół", mamy na zazwyczaj na myśli duchowieństwo wszystkich szczebli i kategorii, z zakonami męskimi i żeńskimi włącznie, a nawet z półzakonami oraz aktywem kościelnym, do którego zalicza się kościelny, organista, osoby dbające o czystość i wystrój kościoła oraz innych obiektów przykościelnych czy kaplic, personel parafii oraz plebanii, diakoni i ministranci, stowarzyszenia różańcowe i inne, mniej lub bardziej jawne (np. *Opus Dei* czy Rycerze Maltańscy), a na końcu z milionami prostych wiernych pracujących na różnorakie potrzeby wymienionych kadr.

Kiedy się jednak mówi lub pisze o stosunkach czy dialogu pomiędzy Państwem a Kościołem, to wówczas w szczególny – zaledwie – sposób chodzi o układanie się w sprawach dotyczących interesu samych wiernych, nie czerpiących korzyści materialnych z faktu bycia w Kościele; chociaż duchowieństwo ciągle powtarza *ex cathedra*, że uprawia służbę bożą dla pożytku wiernych. W ten szczególny sposób zapracowuje jednak na konkretne emerytury dla siebie. Jeśli zatem Kościół Hierarchiczny przedstawia się opinii publicznej jako obrońca narodu, który zawsze trzymał jego stronę i dlatego należą mu się specjalne uprawnienia, także prerogatywa do reprezentowania narodu wobec władzy zależnej od obcego mocarstwa, to godzi się przypomnieć, że w pierwszej kolejności jest on związany bezwarunkowym posłuszeństwem względem swojego zagranicznego zwierzchnictwa; co znajdowało swoje wyrazy np. w czasie zaborów (paru biskupów nawet powieszono w Warszawie za realizację polityki papiestwa wobec zaborców). A więc jeśli trzymał się narodu, to jako swego żywiciela. To naród był i jest dobroczyńcą tego Kościoła, a nie na odwrót. Gdy Prymas Wyszyński sprzeciwiał się władzy (słynne *non possumus*), to przede wszystkim w kwestii swoich prerogatyw jako namiestnika papieskiego władającego niepodzielnie państwem w państwie. A co te sprzeciwy znaczyły dla przeciętnych ludzi? Także co znaczyło to, że biskupi polscy układali się z biskupami niemieckimi na równych prawach? Kto z kim się wówczas pojednał i pod czyją egidą?

Do tła dialogu pomiędzy wierzącymi a niewierzącymi i – odpowiednio – między Państwem a Kościołem należy też sprawa Stowarzyszenia PAX i „księży patriotów". O taki „niby patriotyzm" podejrzewano w kręgach zachowawczych Kościoła całą niemal kadrę Akademii Teologii Katolickiej, będącej w pełni na garnuszku publicznym, od znakomitego biblisty ks. Aleksego Klawka (profesora m. in. Karola Wojtyły na Wydziale Teologicznym UJ) po zacnego redemptorystę ks. Emila Stanulę, też tam zatrudnionego od drugiej połowy lat 60; chociaż jej kanclerzem był kardynał Wyszyński. Nie podejrzewano zaś tajnych współpracowników, których też było niemało w gronie duchowieństwa i samej hierarchii. Nie mówiło się w każdym razie o tym w towarzystwie i nie pisało w kościelnych oraz parakościelnych periodykach. Ja jednak chcę zwrócić uwagę na przytoczony przez doktora Słowika znamienny bardzo głos jednego z przedstawicieli marksistowskiego zaplecza dla strony rządowej, Wojciecha Pomykały, w dyskusji w Stowarzyszeniu PAX:

„Wysuwane są nieraz poglądy (…), że po to, aby mógł zaistnieć dialog między marksistami a katolikami, marksiści muszą uznać pluralizm światopoglądowy przyszłego społeczeństwa, w którym nastąpiłoby zwycięstwo jakiegoś określonego światopoglądu. Oczywiście, takie żądanie pod adresem marksistów jest żądaniem niesłusznym, jak byłoby niesłuszne, gdyby marksiści żądali od katolików tego samego." (s. 73). I dalej: „Zakłada się więc traktowanie «rzeczywistości światopoglądowej» społeczeństwa polskiego jako struktury dynamicznej, ulegającej przemianom dzięki rywalizacji i walce dwóch zaangażowanych podmiotów światopoglądowych – Kościoła i państwa. Z takiego założenia wynika logicznie kolejna teza: państwo nie może być światopoglądowo neutralne, ponieważ nie może dopuścić na przykład do relatywizmu światopoglądowego wiedzy naukowej przekazywanej w systemie nauczania szkolnego i ogólnej edukacji obywatelskiej; nie może być neutralne, bo musi równoważyć «presję światopoglądową» wywieraną przez Kościół i związane z nim ośrodki na świadomość i poglądy społeczeństwa polskiego." (tamże, s. 74).

Otóż z takiej prezentacji mógłby ktoś wysnuć wniosek, że W. Pomykało się mylił, wręcz błądził. Tymczasem nie! Państwo po przewrocie 1989 r. pod sztandarem świeżo zdobytego przez Kościół dla Kościoła „pluralizmu światopoglądowego" w krótkim czasie oddało mu światopoglądowy monopol, o który zawsze i wszędzie chodziło i chodzi Kościołowi, tj. w ręce Kościoła Rzymskokatolickiego. Zaowocowało to zaraz zrównaniem światopoglądu religijnego, w szczególności teistycznego, z wiedzą naukową – czego się obawiał W. Pomykało i nie tylko on jeden. Znalazło to wyraz w uznaniu teologii za równoprawną z innymi dyscyplinę naukową, skutkiem czego są wydziały teologiczne na uczelniach państwowych oraz równoprawność ich stopni i tytułów naukowych ze stopniami i tytułami w biologii, fizyce czy chemii. Był to również tytuł do nauczania religii od przedszkoli po maturę państwową. Czyli do formowania kolejnych pokoleń w duchu dualizmu typu: nauka nauką, lecz poza nią, a nawet ponad nią – jak się wyraził jeden z rektorów Uniwersytetu – jest specjalna, wyższa wiedza, w domyśle: boskiego pochodzenia. Tak więc teologowie wspierani intelektualnie przez cywilnych działaczy katolickich dialogowali z marksistami, a wygrał batalię o panowanie nad umysłami kilku generacji Kościół.

Pragnę też zwrócić uwagę przy okazji omawiania książki Z. Słowika, że daje ona możność dostrzeżenia pewnej odpowiedniości pojęć, która podówczas była z reguły negowana przez stronę kościelną. Chodzi mi o pojęcia: światopogląd-ideologia-świat wartości. Pamiętam, jak pewien uczony w randze docenta kpił sobie w latach 70 z pierwszego z tych pojęć na zebraniu naukowym instytutu. To bzdura, zakrzyknął. Coś takiego nie istnieje! Rzeczownik „ideologia" zaś i przymiotnik „ideologiczny" mogły być u nas odnoszone wedle tej reguły i tej strony „dialogu" wyłącznie do programu partii komunistycznej i to w znaczeniu ujemnym, jako uwłaczające tym wszystkim, którzy uznawali bądź wyznawali mniej lub bardziej socjalistyczny system wartości. Tymczasem w naukach humanistycznych krajów Europy Zachodniej pojęcia te funkcjonowały jako odnoszące się po prostu i zwyczajnie do wyznawanego lub podzielanego systemu wartości. Np. we Francji *idéologie chrétienne du Moyen Âge* (sam uczestniczyłem w seminarium pod takim tytułem w Poitiers w 1978 roku), czy *Idéologie de la rupture* (tytuł książki niedawno zmarłego profesora z Poitiers o nazwisku Jaques D'Hondt, specjalisty od filozofii Hegla). Dodajmy do tego, że w latach 80 przeważająca liczba demokracji zachodnich – w tym demokracje niemiecka i szwedzka – oddawała władzę partiom socjaldemokratycznym, uznającym te pojęcia za podstawowe dla ustroju społecznego. A u nas toczył się „dialog", który utoczył wiele „złej krwi".

Praca Zdzisława Słowika jest jedną z tych rozpraw naukowych, które dotyczą czegoś istotnie ważnego w życiu społeczeństw, a mianowicie porozumiewania się ludzi o różnych doświadczeniach i poglądach dla współpracy w tworzeniu wspólnego dobra. Rzecz jednak w tym, że u nas – tj. w Polsce – w odróżnieniu od większości krajów zachodnich – nie osiągnięto, tzn. nie osiągnęliśmy dostatecznej dojrzałości obywatelskiej i jak wyrostki na podwórku udawaliśmy gotowość zbliżenia i rozmowy, żeby ostatecznie palnąć adwersarza w ucho lub pociągnąć przeciwniczkę za warkocz. Mówiono i pisano o dialogu, lecz duchowni ośmieszali kategorię humanizmu socjalistycznego i np. czyny społeczne (o ile nie była to naprawa drogi czy rowu w pobliżu kościoła lub plebanii), a funkcjonariusze służb specjalnych „zbierali haki" na duchowieństwo – by się

ograniczyć do przykładów łagodniejszych dokuczeń po obu stronach. Harcownicy w osobach intelektualistów odbywali konferencje i spotkania pełne kurtuazji i zrozumienia dla stanowiska drugiej strony, przywódcy spotykali się od czasu do czasu (ogólnie biorąc bardzo rzadko – por. Z. Słowik, dz. cyt., s. 141 i nn., o spotkaniu Prymasa z I Sekretarzem oraz o przekonaniu władz polityczno-państwowych o niemożności tudzież bezcelowości dialogu z Kościołem), a służby specjalne robiły swoje: raz agitowały, innym razem straszyły – w sumie zapewniano pewien stan dynamicznej równowagi. W zależności od sytuacji była to homeostaza bardziej stabilna, albo bardziej chwiejna. Wahania sięgały aż do strefy terroru politycznego.

Świadomy tego Autor poświęca ostatni podrozdział swojej książki pytaniu, czy w końcu był jakiś dialog na serio, czy też go nie było, poza udawaniem. Jeszcze raz odwołuje się do koronnych argumentów, wielokrotnie podnoszonych i w innych rozdziałach, że przecież ludzie się spotykali i wzbogacali wzajemnie wymianą myśli czy wartości, no i wreszcie doszło do porozumienia przy Okrągłym Stole! Ja zaś odczuwam pewien niedosyt, bo chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej na temat, **jak doszło** i **co z tego wyszło konkretnie i dla kogo**. Dr Słowik pokazał obszernie i szczegółowo, **jak szło**. Będę więc czekał – i myślę, że nie tylko ja – na następną obiektywną prezentację zdarzeń i dokumentów ilustrujących wspomniane **dojście** i **wyjście**. Z mojej bowiem perspektywy nauczyciela filozofii, w tym etyki, efektem owego dialogowania jest też i taki fakt, że program etyki dla szkół ponadgimnazjalnych, który byłem zobowiązany realizować, nosi cechy wybitnie konfesyjne; tak jakby został ułożony przez księdza katechetę, czyli dla potrzeb formowania moralności chrześcijańskiej na zajęciach katechizacyjnych. W dodatku program ten zawiera niedorzeczności, których po prostu etyk – czyli filozof – nie jest w stanie podawać uczniom bez sprzeniewierzania się podstawowym zasadom naukowej metodologii. Podobnie jest zresztą z programami etyki dla studentów. Układałem więc sam programy zatwierdzane co roku przez władze szkolne i uczelniane. Ostatecznie już ani nie uczę etyki w liceum, ani jej nie wykładam na wyższej uczelni. Uczą i wykładają ci, którzy realizują owe „wychowawcze" programy, a przy tym coraz częściej mają szczególne uprawnienia kościelne o nazwie *missio canonica*. O wadliwych sformułowaniach wspomnianej podstawy programowej lekcji etyki czy programów dla studentów wyższych uczelni pisałem już parokrotnie. Tu dodam tylko, że są to *à rebours* programy w rodzaju Kaweckiego, o którym wspomina Z. Słowik.

Wolno Autorowi opracowania uważać, że ów dialog nie był ani nie jest jedynie grą pozorów, jak to podnosiło i podnosi wielu uczestników ówczesnych rozmów i sympozjów, centralnych i peryferyjnych. Choć sam też przyznaje, że „dialog (…) był zawsze pochodną stopnia społecznego poparcia władzy, potencjału jej siły albo jej słabości" (tamże, s. 162). I dalej:

„Inicjatywy dialogowe (…) były zawsze konsekwencją kolejnych kryzysów politycznych, które osłabiały władzę: wówczas władza w poprawie stosunków z Kościołem dostrzegała sposób na zmniejszanie społecznej presji, na wychodzenie z kryzysu. (…) Obie zaś strony, można sądzić, kierowały się przekonaniem, że może być znacznie gorzej (…). A taka perspektywa nie leżała w interesie ani władz, ani Kościoła" (tamże).

□

JERZY J. KOLARZOWSKI

Zbawienna moc życia

Kultura jest dziedziną pokrewną alchemii. Każda treść: literacka, artystyczna, czy tym bardziej muzyczna istnieje nie tylko przez swoje pierwotne utrwalenie – zapis, ale nade wszystko poprzez interpretację. W jakim stopniu o upowszechnieniu treści kultury decyduje ich interpretacja, a w jakim stopniu są wstanie oddziaływać bezpośrednio *per se* – same przez się? Jest to pytanie odwieczne, fundamentalne, ale także nie nadające się do szczegółowej konkretyzacji.

Niemniej każda szczegółowa konkretyzacja następuje w twórczości wybitnych eseistów. Bez względu na to, czy piszącym jest renesansowy autor *Prób* Michel Eyquem de Montaigne (1533-1592), twórca pojęcia eseju, Aleksander Fredro (1793-1876) z galicyjskich zapisków młodości *Trzy po trzy* (wydane pośmiertnie w 1917), czy Krzysztof Rutkowski z *Daru Anioła*.

Fizjologia i tajemnica

Pytanie, które na gruncie kultury, dotyczące ożywczej roli interpretacji, nie mogąc znaleźć odpowiedzi ścisłej można przenieść w rejony równie bliskie alchemii, ale z konieczności życiowej znacznie bardziej wymierne – na grunt ekonomii. Jaki procent wartości towaru może stanowić jego reklama? Czy można dopuścić sytuację, w której wartość samego produktu to 1 procent, a związana z kampanią reklamową to pozostałe 99 procent? We współczesnym świecie jest to pytanie nader zasadne i często znajduje odzew w przepisach państwowych, które wbrew wszechobejmującemu liberalizmowi ingerują w strategie producentów i reklamodawców, określając, jaki procent wartości towaru musi wynikać z kosztów produkcji, a jaki może producent przeznaczyć na promocję i kampanię z promocją związaną. Do pewnej paradoksalnej sytuacji z kampanią reklamową w tle doszło kilkanaście lat temu we Włoszech. W związku z zagrożeniem epidemią AIDS oraz włoskimi nawykami postanowiono wypromować rodzimą markę prezerwatyw. Powołano międzynarodowe jury i zgromadzono imponujące środki finansowe, wsparte nawet funduszami państwa i Europejskiej Wspólnoty. Po otwarciu kopert z werdyktem grona jurorów okazało się, że zwyciężyła reklama przedstawiająca na tle turkusowego nieba krzywą wieżę w Pizie; pod spodem był napis: „sylwetkę ma smukłą, z czasem nieco się odchyla"; w prawym, dolnym narożniku umieszczono emblemat firmy produkującej utensylia. Luminarze włoskiego

życia politycznego, specjaliści od promocji zdrowia oraz szereg opiniotwórczych publicystów było oburzonych. Jak to – pytano – ta sygnaturka reprodukowana na milionach pocztówek, okładkach folderów i przewodników, nieomal symbol Italii, ma reklamować coś podobnego? Chciano unieważnić konkurs. W końcu nabrano wody w usta i dziś o konkursie mało kto pamięta, reklama ukazywała się na ostatnich stronach kolorowych czasopism dla mężczyzn i nawet robiła furorę – zwłaszcza poza Włochami. Czasami wystarczy kontekst i siedem niewinnych słów, by symbol totalnie zbanalizowany poprzez masowe powielanie wizerunku emanował ku uciesze jednych i zgryzocie innych, znaczeniem tyle fizjologicznym, co zarazem alchemicznie tajemniczym.

Pytania realizowane życiem

Tajemnicze zespolenie tego co cielesne z tym, co poetyckie, artystowskie, ekstatyczne, tego co wzniosłe z w o j e r y z m e m – podróżowaniem wzdłuż granic społecznej normy i życia – to motyw nasączający eseistykę K. Rutkowskiego frapującymi treściami. W pierwszym z szesnastu esejów, poświęconym środowisku młodości Artura Rimbaud na przykład czytamy:

„Nowy lokator zapraszał gości równie chętnie jak jego poprzednik: raczył «zielonym dżemem», czyli pastą z haszyszu gniecionego z miodem, popijaną mocną, gorzką kawą. «Zielony dżem» smakował ogromnie Balzakowi, Gautierowi i Baudelaire`owi. Kobiet nie brakowało". (K. Rutkowski, *Dar Anioła*, s. 7, esej *Co to jest poezja*).

Wyobraźmy sobie szkołę, klasę uczniów gimnazjum, czy liceum, biednego pana Pimko jak z kart *Ferdydurke,* który z pomocą tych esejów ma przeprowadzić lekcję o głównych tendencjach w literaturze XIX-wiecznej Francji, o realizmie krytycznym i o symbolistach. Dlaczego nie? – Można zapytać, choć nie wiem, czy można odpowiedzieć. Na takiej lekcji musiałoby paść więcej pytań o tajemnicę życia i o naturę społeczeństw, niż ktokolwiek jest w stanie na nie odpowiedzieć. Pytań byłoby mnóstwo – dwie wielkie powieści XIX wieku: *Pani Bowary* i *Anna Karenina* dotyczą kryzysu rodziny, dziś rzeczywistości ujmowanej przede wszystkim statystycznie i doskonale znanej z przeżyć osobistych co czwartemu uczniowi w klasie kiedy to rodzice... Dobra eseistyka jak dobra lekcja – stawia pytania, na które nie daje odpowiedzi, bo te należy znaleźć we własnej introspekcji i doświadczeniach.

Buczkowski, katachreza, Rutkowski

Jeżeli jednak ktoś sądzi, że dobre eseje pisze się głównie po to, by egzemplifikować, jak w talmudycznej interpretacji Słowa, pytania krążące wokół problemów transcendentalnych, jest mimo wszystko w błędzie. Eseje często pisze się, a na pewno się czyta z powodu chęci brania udziału w przyjemnościach. Mnóstwo okoliczności zabija przyjemność lektury. Pan Krzysztof Rutkowski, zanim w roku 1981 wyjechał do Francji, by badać archiwum Aleksandra Wata, wcześniej przez siedem lat prowadził zajęcia na Wydziale Polonistyki UW z teorii literatury. Jak nadmienił na wieczorze autorskim, który odbył się 17.04.2012, źle wspomina ten okres. Naukowe analizy podporządkowane akademickiemu rygorowi

dyskursu doprowadzały umysł adepta do odrętwiającego zmęczenia, do zidiocenia, do pasji nie wolnej od wstrętu. Otoczenie siermiężnego PRL-u też należy uznać za mało sprzyjające, dochodzące z zewnątrz treści szeroko rozumianej kultury były ostro selekcjonowane. Ówczesna humanistyka polska reprezentowała poziom światowy na krótko i w wysoce specjalistycznych dziedzinach, na przykład w językoznawstwie. W kuluarach powtarzano niczym mantrę zbitkę słów: abstrakcja + wolność badacza = atrakcja.

Dla kilku generacji krytyków dojrzewających w ostatnich dwu dekadach PRL kluczowe znaczenie miała twórczość współcześnie nieco zapomnianego pisarza – Leopolda Buczkowskiego (1905-1989). Twórczość Buczkowskiego ukazuje losy wsi wschodniej Galicji wraz z charakterystyczną dla niej kulturą polską, ukraińską, żydowską, unicestwionej przez waśnie narodowościowe, społeczne i terror faszystowskiego okupanta. Prozaik ten na potrzebę opisu walk partyzanckich na Podolu, w których osobiście brał udział, stworzył szczególny typ narracji fragmentarycznej, fabuły „złamanej". Plastykę i autentyzm realiów łączył z poetycką wizją kresową, senną, balladową. W charakterystycznym dla siebie stylu nacechowanym siłą poetyckiej ekspresji posługiwał się techniką strumienia świadomości, narracją symultaniczną, metodą kolażu tekstów, wątkami autotematycznymi. Jego styl to piętrzące się metafory przez językoznawców klasyfikowane jako katachrezy. Katachreza (łac. odpowiednik: abusio) to odmiana metafory, którą odbiorca odczytuje jako nadużycie językowe lub metaforę pozbawioną przekonującej motywacji. Katachrezy występują tak w literaturze, jak i w języku potocznym. Niektóre katachrezy mogą na skutek zatarcia dawnego znaczenia wyrazu nie być odczuwane jako błędy stylistyczne (np. „kolorowa bielizna", wyrażenie stanowiące oksymoron, jako że w dawnym znaczeniu słowa bielizna oznaczało część ubrania, która mogła być wyłącznie biała). Dzięki rozszerzeniu semantycznemu można zastosować nazwę pewnego zjawiska do utworzenia nazwy innego, przeważnie w jakiś sposób analogicznego. W europejskim kręgu kulturowym często są to nazwy części ciała ludzkiego, z których zastosowaniem tworzy się nazwy przedmiotów nieożywionych przez podobieństwo kształtu lub analogię funkcji, np. ucho filiżanki, gałąź rodu. Katachrezy L. Buczkowskiego dotyczą nocy okupacyjnej i ciemności,* katachrezy K. Rutkowskiego – światła i wolności.

Słowo Boże jest ogniem gorejącym w całej jaskrawości, ogniem tak silnym, że oglądanie Głosu Pana (nie słyszenie Głosu, lecz oglądanie właśnie, bowiem Głos i Słowo nie tyle ogłusza, ile oślepia), nawet przez proroka możliwe jest tylko wtedy, gdy jaskrawość Słowa otacza filtr przepuszczający tylko część jego blasku. Chmura-opona spełnia rolę takiego filtra i pozwala prorokom widzieć ogień Słowa i nie oślepnąć. Chmura-opona strzeże ponadto ogień Słowa przed niedyskretnymi spojrzeniami (K. Rutkowski, *Dar Anioła*, s. 53, esej *Opony Pana*).

Kamienny potok sensu

Po sześćdziesięciu latach od śmierci L. Wittgensteina (1889-1951), który w swojej późnej filozofii badał sposoby powstawania metaforycznych wzorców językowych,

m. in. katachrez, współcześnie świadomy pisarz ustawia słowa z uwagą, tak by niemal każdy zwrot językowy stanowił fragment odwołujący się do istniejącego już kodu kulturowego. Tytuł ostatniego eseju, a zarazem całej książki *Dar Anioła* nawiązuje do autobiograficznych przeżyć autora związanych z wielokrotnym pobytem na Korsyce i poznawaniem wyspy w towarzystwie miejscowego instruktora Legii Cudzoziemskiej, nazywanego Aniołem. Otrzymany od niego prezent to pistolet.

Z kolei esej *Kamienny potok* opisuje wczesno-renesansową twórczość malarską Andrea Mantegni (1431-1506), losy okaleczonego filozofa Piotra Abelarda (1079-1142) i okrytą najpierw tajemnicą, a potem hańbą miłość do Heloizy, wreszcie somnambuliczną twórczość poetycką R.M. Rilkego (1875-1926). *Kamienny potok* posłużył jako tytuł zbioru szkiców autobiograficznych wybitnego krytyka i badacza spuścizny antyku oraz Szekspira, Jana Kotta. Ale te zwyczajne dwa słowa niosą ponadto o wiele głębsze – kabalistyczne znaczenie. Kiedy Duch Boży opuszczał Ziemię, nastąpiła kosmiczna katastrofa. Rozbił się wielki puchar wina. Jego skorupy osiadły w górach i na dnie oceanów. Wino Pana rozlało się i wyparowało. Ślady Boskiego Ducha ocalały jedynie w zakamarkach kamiennych potoków.

„Od pewnego czasu przez geologów są opisywane zjawiska krasowe, występujące na podłożu skał, zawierających związki żelaza. Nie jest znany dokładny mechanizm chemiczny tych zjawisk. Wiadomo tylko, iż w miejscach tych występuje tzw. «woda różana», tj. woda z doskonale zjonizowanymi cząsteczkami żelaza. Wiadomo również, że woda taka posiada właściwości lecznicze, a ponadto może uruchamiać zdolności parapsychiczne jednostki ludzkiej. Kiedy sporządzono mapę geologiczną miejsc występowania złóż takiej wody na naszym kontynencie, okazało się, że pokrywają się z miejscami kultów (np. Santiago di Compostella, Lourdes, Częstochowa, groty św. Beatusa nad jeziorem Tun w Szwajcarii). Objęte tajemnicą badania dotyczące «wody różanej», jej właściwości oraz zjawisk, które towarzyszą miejscom jej występowania, prowadzą chemicy i fizjolodzy w Szwajcarii i w Hiszpanii".[***]

Tak więc *Kamienny potok* dla K. Rutkowskiego jest lekcją, a mała luka szczęścia nagrodą – już tutaj na Ziemi? □

Krzysztof Rutkowski, *Dar Anioła*, ISKRY, Warszawa 2012.

[*] Wzorcowa pod tym względem jest najsłynniejsza powieść L. Buczkowskiego Czarny potok (rok I wyd. 1954, IW Pax, Warszawa) z jej pierwszym zdaniem: „Drogi i nocy nie było końca".

[**] Jan Kott, Kamienny potok. Szkice autobiograficzne, Londyn, Aneks, 1986.

[***] Autocytat za: *Filozofowie i mistycy. Na drogach neoplatonizmu,* wyd. Enetheia, Warszawa, 2005, s. 60.

Można powiedzieć tak: dla ateisty religia nie jest potrzebna do tego, by był ateistą, tymczasem dla wierzącego ateizm jest konieczny jako czynnik oczyszczający jego wiarę w Boga.

Józef Tischner, Polski kształt dialogu, s. 258; cyt. za: Zdzisław Słowik, Na drogach polskiego dialogu (1962-1990), wyd. Śląsk, Katowice 2012, s. 136-137.

IGNACY S. FIUT

Emocje i wyobraźnia dyktują wiersze

Przedstawiamy tym razem książeczki poetyckie czworga krakowskich poetów, którzy pod wpływem emocji, osobliwej wrażliwości przekraczają granice własnej wyobraźni, a przy okazji skrupulatnie wnikają w detale naszego świata społecznego i przyrodniczego. Sięgają również tą poszerzoną wyobraźnią nawet rzeczywistości metafizycznej, by nam ją przybliżyć i nawet bezpośrednio ukazać.

Tomik **Joanny Rzodkiewicz** to przykład typowej poezji kobiecej, choć już wyemancypowanej. Poetka zebrała w nim wiersze, za którymi kryją się wręcz fotograficzne obrazy nasze, społecznej rzeczywistości z jednej strony, z drugiej zaś autorka pomieściła tu studia zdjęte żywcem ze świata przyrody, niekoniecznie dane w bezpośrednim doświadczeniu, ale często zapośredniczone jej obrazami medialnymi. Tytuł tego zbiorku to ***Dwoisty kaprys*** i chyba właściwie oddaje naturę tej poezji kobiecej, która i w świecie poezji mimowolnie może pokusić się o estetyczny kaprys, jeśli już wie, że rzeczywistość codzienna jest bezwzględna i nieubłagana dla życia. W wierszu tytułowym mamy do czynienia z taką oto sytuacją, opisaną przez poetkę: „dwa różowe korale/uczepione ramion/strudzonej gałązki/ jarzą się/ na spopielonym tle/wciąż niegotowe/by upadać//czy to jesienny kolor/czy owocowe łzy/skraplają się/poza ramy fotografii/na moją kartkę". W podobnym refleksyjnym, ale i emocjonalnym klimacie zostały tu zamieszczone wiersze poświęcone pamięci ojca, zdziwieniu niesamowitością detali przyrodniczych, ale i liryczno-egzystencjalnemu światu Anny Kajtochowej, której poezja jest cenna dla Rzodkiewicz i stara się ona pozostawać w jej klimacie. W jednym wierszu bez tytułu tak oto odnosi się do jej poezji: „rozdawała garściami/najcenniejsze perły/choć niejedna/utraciła blask/toczy się w szarość/ ostrych kamieni". Innymi motywami, które inspirują autorkę, a nierzadko budzą jej gniew i bunt, są obrazy wzięte żywcem ze współczesnego życia miasta, gdzie szerzy się głupota, chamstwo, agresja, a nawet zwykłe barbarzyństwo. Boli ją również cierpienie innych ludzi doświadczonych przez los, których życie jest jedną wielką traumą. Pisze o tym, bo wie, że mimo chęci niewiele może tu pomóc, a więc nazywa rzeczy po imieniu, obrazując je w treściach wierszy z nadzieją, że może ktoś zna jakieś egzystencjalne rozwiązanie. W wierszu pt. „Błąd" sucho sprawozdaje: „nie rozróżnia/nieznanych krain adaptacji/więc zakładają mu obroże/bije skrzydłami/o smycz/zbyt krótką/ /chłopiec/z syndromem FAS". Wiersze krakowskiej poetki są pisane na granicy świata spo-

łecznego, uwikłanego w mechanizmy przyrody; poetka jednak, widząc je i ukazując chce, by ludzie do świata poezji zaglądali również i z tej często przykrej i bolesnej pespektywy.

Bez dotyku – to kolejny tomik innej krakowskiej poetki – **Joanny Pociask-Karteczki**, która od lat żyje górami i często przemierza je piechotą, a wtedy jakby mistycznie łączy się z tym dzikim, twardym i wyrazistym światem. Wtedy z jej duszy wychylają się znakomite wiersze liryczne, przybierające formę cyklu sonetów opiewających ducha gór, odsłaniającego jakby poetce i stawiającego przed oczami wieczność. Wielbi wtedy ukazujące się jej oczom piękno i harmonię tego kamiennego świata, zatopionego we mgle pomiędzy ziemią a niebem, u podłoża którego rozciąga się szal lasu. Góry to dla poetki właściwie świątynia, w której językiem natury jakby rozmawia i jednoczy się w tej rozmowie z Bogiem, którego ma na wciągnięcie ręki, obecnego tu w każdym żywiole: wody, słońca, szmeru strumyka, szumu lasu, w locie ptaka, szybowaniu motyla i przysłowiowym, powtarzanym za Asnykiem „gromobiciu ciszy". Jest wtedy pełna szczęścia, ale nawet i erotycznego spełnienia. W wierszu „nad Toporowym Stawem Niżnym" opowiada owo doświadczenie metafizyczne, pisząc: „nad taflą Toporowego/wdarły się obłoki/tłuściutkim wizerunkiem Boga/nagle anioł zatrzepotał skrzydłami/zmarszczył taflę jeziora/i zniszczył obraz Boga". Jako osoba zawodowo zajmująca się kwestiami geograficznym, i swą pracę terenową i laboratoryjną postrzega jako bezpośredni dialog z tajemnicą gór, które coraz bardziej ją uwodzą i nie wstydzi się powiedzieć, że je kocha, bo poznała ich i własną w nich zatopioną „logikę serca". Na koniec zamieszcza poetka wiersze poświęcone pamięci Jerzego Dynowskiego, pisząc, że śmierć miłośnika gór jest właściwe przejściem do wiecznego świata ciszy. Cały tomik dedykuje zaś pamięci Jerzego Tawłowicza, niedawno zmarłego poety i przewodnika tatrzańskiego, który uczył ją języka rozmowy z górami, czyli jak bezpośrednio, delikatnie i miłośnie dotykać je swoimi uczuciami i emocjami.

Eligiusz Dymowski – to ksiądz piszący ciekawą, a przy tym bardzo sugestywną poezję, inspirowaną nie tylko przeżyciem religijnym, posługą kapłańską, ale również refleksją filozoficzno-teologiczną oraz obserwacjami i przeżyciami prosto wziętymi z życia codziennego. Omawiany zbiorek poetycki nosi tytuł – ***Zerwane kartki z kalendarza. Miniatury poetyckie prozą***. Rzecz to niewielka, ale zawiera utwory wysokiej próby artystycznej. Posługa kapłańska, określony sposób życia i bycia, dostarczają bowiem poecie doświadczeń ekstremalnych egzystencjalnie, które stają się przedmiotem jego często lakonicznych wypowiedzi, ale na tyle drastycznych, że budzą w czytelniku wręcz bunt metafizyczny, który przed zwątpieniem jedynie może hamować mocna wiara. Doświadczenie zła wszechobecnego w świecie, samotność w walce z nim, którą otacza ludzkie zobojętnienie i bezradność, powoduje, że odnosi się wrażenie, iż poeta często ulega zwątpieniu w słowo „człowiek" i to, że jeszcze „brzmi dumnie". Z drugiej strony autor obserwuje, że głód miłości w naszym świecie staje się coraz większy, a podróżując po świecie, bo tak powstawały te krótkie teksty poetyckie, pisane prozą, zastanawia się, czy kiedyś było lepiej, inaczej, albo bardziej jeszcze drastycznie. Ciągle ociera się jednak o doświad-

czenie absurdalności istnienia człowieka, choć żywi głęboką nadzieję, że ta „druga strona" naszego istnienia warta jest tylu upadków doświadczanych przez ludzi. Wie również, że świadome i podświadome widmo śmierci przeraża i paraliżuje człowieka, ale ma jednak nadzieję, że Bóg „wie, co czyni", pod warunkiem, iż nie jest to „zła wiara ludzi". Te obrazy poetyckie Dymowskiego są bez wątpienia szczere i prawdziwe, dające do myślenia i budzące burze przeżyć emocjonalnych. Warto więc wymienić niektóre: *Czytając Hesse'go*, *Z listu do Alberta Camusa*, *Jonasz*, *Maria Magdalena*, *Obłęd*, *Puszcza*, *Czekając na wyrok*.

Kończąc ten krótki wgląd do światów poetów chcemy przypomnieć, że ukazała się kolejna książka **Stanisława Franczaka** – ***Klechdy i przypowieści***. Poeta wraca tu, jak w wielu swoich wcześniejszych książkach poetyckich i prozatorskich, do swego świata małej ojczyzny, w którym jako dziecko słuchał opowiadań, legend – budzących wyobraźnię, a nierzadko „mrożących krew w żyłach", którymi żyli wtedy jeszcze ludzie Podbeskidzia i Nadskawia, w krainie, nad którą wznosi się dumnie, ale i tajemniczo Babia Góra. To kolejny raport o treściach i wartościach ducha ludowego, wartego przywrócenia w pamięci, o duchu tamtego świata, który już dzisiaj powoli idzie w zapomnienie, bo pamięć ludzi zwalniają z obowiązku dzisiaj media i sztuka interaktywna, której te światy już specjalnie nie interesują. Franczak zamieszcza tu takie teksty, jak *Boginki i utopce*, *Zmory, wilkołaki i wampiry*, *Zjawy, zwidy i majaki*, *Zakochana strzyga*, *Południca*, *Płanetnik znad Babiej Góry*, *Księżycowy uśmiech*, *Księżniczka i wozak* i *Gadające buty*. To znakomity portret animizującej świat duszy mieszkańców tamtej krainy, pomieszany z wierzeniami religijnymi, ale i w sposób bajeczny opowiadających o wydarzeniach historycznych, które powoli zacierały się w pamięci, choć stanowiły źródło krzepienia ludzi, ale i opowiadały o ich losach i doświadczeniach, którym nadawali budujący, tajemniczy, a nawet nadprzyrodzony sens, ku pokrzepieniu duszy, ale i ostrzegały przed życiem niegodziwym w sposób często wielce humorystyczny i ze swadą.

Warto więc sięgnąć po te poetyckie książeczki nie tylko w czasie lata, które już nie rozpieszcza promieniami słońca, ale i jesienią, kiedy wieczory stają się coraz dłuższe, a w mediach wszędzie ten sam jazgot zabijający naszą wrażliwość. □

E. Dymowski, *Zerwane kartki kalendarza. Miniatury poetyckie prozą*, Wydawnictwo i drukarnia Słowaków w Polsce, Kraków 2011, s.44; S. Franczak, *Klechdy i przypowieści. Gawędy przy ognisku*, Wydawnictwo STA-L, Kraków 2012, s. 96; J. Pociask-Karteczka, *Bez dotyku*, Wydawnictwo Signo, Kraków 2012, s.48 i J. Rzodkiewicz, *Dwoisty kaprys*, Wydawnictwo Signo, Kraków 2012, s. 48.

FOTOREPORTAŻ Z SYMPOZJUM NA TEMAT:

Europa i przyszłość polskiej lewicy
Spotkanie z Aleksandrem Kwaśniewskim

19 maja 2012 roku w Sali Fontany Muzeum Historycznego w Krakowie odbyło się ogólnopolskie sympozjum Stowarzyszenia „Kuźnica" nt. „Europa i przyszłość polskiej lewicy". Obrady otworzył doc. Andrzej Kurz, prezes „Kuźnicy", który przywitał zgromadzonych gości na czele z prezydentem **Aleksandrem Kwaśniewskim**, senatorem **Włodzimierzem Cimoszewiczem** a także europosłanką **Joanną Senyszyn** oraz wło-

darzem Krakowa prezydentem **Jackiem Majchrowskim**. Andrzej Kurz wygłosił słowo wstępne, a następnie poprosił o zabranie głosu Aleksandra Kwaśniewskiego. Rozważania Aleksandra Kwaśniewskiego i prof. Zygmunta Baumana o kierunkach rozwoju polskiej lewicy na forum nowoczesnej Europy sprowokowały ciekawą dyskusję, która przebiegła w miłej atmosferze. W przerwie spotkania **Stanisław Franczak** – red. naczelny „Forum Myśli Wolnej" i jego zastępca **Jerzy Hyrjak** wręczyli Aleksandrowi Kwaśniewskiemu ostatni numer pisma i zaprosili do stałej jego lektury. □

Inf. i foto: Antoni Pietryka

Obchody 71. rocznicy śmierci Tadeusza Żeleńskiego Boya

Delegacja Towarzystwa Kultury Świeckiej w Krakowie im. Tadeusza Boya Żeleńskiego na czele z prezesem Janem Nowakiem złożyła kwiaty pod popiersiem w 71. rocznicę jego śmierci.

Po hejnale z wieży Mariackiej, w samo południe 5 lipca 2012 roku delegacja Towarzystwa Kultury Świeckiej w Krakowie im. Tadeusza Boya Żeleńskiego, na czele z prezesem Janem Nowakiem, złożyła kwiaty pod popiersiem w 71 rocznicę śmierci. Zebrani byli świadkami wręczenia statuetek Boya Żeleńskiego doc. Andrzejowi Kurzowi prezesowi krakowskiej „Kuźnicy" i dr. Marianowi Dziwiszowi.

Spotkanie wypełniły rozważania nt. działalności patrona, fragmenty utworów

Wręczenie statuetek Boya Żeleńskiego doc. Andrzejowi Kurzowi prezesowi krakowskieji „Kuźnicy" (z lewej) i dr. Marianowi Dziwiszowi.

Stanisław Franczak w imieniu prezydium TKŚ podziękował przybyłym członkom i sympatykom za uczestnictwo w obchodach rocznicy. Następnie zaprosił wszystkich na spotkanie przy kawie w gościnnym I LO im. B. Nowodworskiego w Krakowie. i myśli Boya przywołane przez uczestników, m.in. red. Cz. J. Kotarbę i kol. S. Srokę.

Na Zakończenie Andrzej Kurz podziękował w imieniu uhonorowanych statuetkami, a prezes Jan Nowak pożegnał uczestników spotkania. **(AP)**

JAN NOWAK

Stanowisko Kongresu Krajowego Sojuszu Lewicy Demokratycznej w sprawie stosunków Państwo-Kościół

Wiosną 2012 roku we wszystkich strukturach partyjnych Sojuszu Lewicy Demokratycznej odbyły się zebrania, zjazdy i wreszcie kongres krajowy. Od szczebla podstawowego do centrali dokonano oceny aktualnej sytuacji w organizacjach partyjnych i w całej partii, przedyskutowano i przyjęto Uchwały, które mają doprowadzić do odnowy i rozwoju polskiej lewicy i do zdobycia lub odzyskania przez nią znaczącej pozycji w państwie i społeczeństwie.

Jednym z najważniejszych zadań programowych, podjętych przez Kongres Krajowy SLD zgodnie z coraz powszechniejszymi oczekiwaniami, nie tylko członków SLD, ale także większości obywateli myślących racjonalnie i nowocześnie – jest przywrócenie świeckości państwu polskiemu, co wymaga unormowania i przestrzegania stosunków Państwo-Kościół.
Oto stanowisko, jakie przyjął V Kongres Krajowy Sojuszu Lewicy Demokratycznej w dniu 28 kwietnia 2012 roku:

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej w art. 25 stanowi, że:

„władze publiczne zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych", a „stosunki między państwem a kościołami i innymi związkami wyznaniowymi są kształtowane na zasadach poszanowania ich autonomii oraz wzajemnej niezależności każdego w swoim zakresie".
Kościół Katolicki, pomimo konstytucyjnej gwarancji równouprawnienia wszystkich Kościołów i innych związków wyznaniowych, jest w Rzeczypospolitej uprzywilejowany. Stosunki z Kościołem Katolickim regulują nie tylko ustawy zwykłe, ale i umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską (Konkordat). Artykuł 1 Konkordatu zawiera potwierdzenie, że „Państwo i Kościół Katolicki są – każde w swej dziedzinie – niezależne i autonomiczne oraz zobowiązują się do pełnego poszanowania tej zasady".
W wyniku nadinterpretacji zapisów konstytucyjnych, konkordatowych i ustawowych oraz mentalnego podporządkowania i uległości polityków wobec duchowieństwa, Rzeczpospolita Polska przekształciła się z gwarantowanego prawnie państwa świeckiego w państwo wyznaniowe.
W III RP występują, między innymi, takie atrybuty państwa wyznaniowego, jak:

– brak neutralności światopoglądowej w stanowieniu prawa (np. ustawa o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży, kryminalizacja w kodeksie karnym jedynie obrazy uczuć religijnych, brak finansowania zapłodnienia in vitro ze środków publicznych),

– bezpośrednie finansowanie instytucji kościelnych i duchowieństwa z budżetu państwa i budżetów samorządowych (np. budowa Świątyni Opatrzności Bożej, utrzymanie i rozbudowa prywatnych uczelni katolickich, opłacanie składek na ubezpieczenie emerytalne, rentowe i wypadkowe z tworzonego ze środków budżetowych tzw. Funduszu Kościelnego),
– afirmacja religii przez organy władzy publicznej (np. religijny charakter ceremoniału państwowego, krzyże w instytucjach państwowych, przedszkolach i szkołach),
– przejęcie przez państwo niektórych funkcji związków wyznaniowych (np. organizowanie lekcji religii i ocena z religii na świadectwie szkolnym, zatrudnianie 29 tys. katechetów, wsparcie udzielane kapelanom w służbach mundurowych),
– częściowy zanik odrębności organizacyjnej Państwa i Kościołów (np. Ordynariaty Polowe Wojska Polskiego w ramach struktur Ministerstwa Obrony Narodowej).

Sojusz Lewicy Demokratycznej postuluje przywrócenie świeckości Państwu Polskiemu. W tym celu za pierwszoplanowe i najpilniejsze uznajemy:

1. W zakresie stosunków majątkowych:
– zaprzestanie finansowania z budżetu kościelnych instytucji oraz duchowieństwa,
– likwidację przywilejów finansowych Kościoła i duchowieństwa, na początek tych, które wykraczają poza zapisy konkordatowe,
– likwidację Funduszu Kościelnego,
– weryfikację wszystkich decyzji Komisji Majątkowej przez niezależny od Kościoła organ i odebranie kościelnym instytucjom majątków przyznanych z naruszeniem prawa,
– zniesienie zwolnień podatkowych, przyznanych Kościołowi ustawą z 1989 r., które kosztują budżet ponad 3,5 mld zł rocznie,
– wprowadzenie „podatku kościelnego".

2. W zakresie światopoglądowo-organizacyjnym:
– przywrócenie świeckiego charakteru ceremoniałowi państwowemu, siedzibom organów władzy publicznej, przedszkolom i szkołom,
– wyprowadzenie Ordynariatów Polowych WP ze struktur MON,
– likwidację w kk kryminalizacji obrazy uczuć religijnych,
– usunięcie oceny z religii ze świadectw szkolnych i zaprzestanie ich wliczania do średniej,
– wprowadzenie powszechnych lekcji etyki, jako alternatywy wobec religii.

3. W zakresie realizacji praw człowieka:
– wprowadzenie lekcji edukacji seksualnej od pierwszej klasy szkoły podstawowej,
– powszechną fizyczną i ekonomiczną dostępność środków antykoncepcyjnych,
– liberalizację ustawy antyaborcyjnej,
– finansowanie zapłodnienia *in vitro* ze środków publicznych,
– prawne unormowanie związków partnerskich.

Mamy nadzieję, że już w najbliższym czasie zostaną podjęte przynajmniej niektóre z wymienionych w Uchwale zamierzeń, te najważniejsze i najpilniejsze:

– likwidacja przywilejów finansowych Kościoła i duchowieństwa, szczególnie tych, które wykraczają poza zapisy konkordatowe,
– przywrócenie świeckiego charakteru ceremoniałowi państwowemu, głównie siedzibom organów władzy państwowej,
– wprowadzenie do planów nauczania lekcji etyki jako przedmiotu obowiązkowego,
– uregulowanie prawne i finansowe zapłodnienia *in vitro*.

Czas najwyższy, abyśmy zerwali z praktykami rodem ze średniowiecza, abyśmy wreszcie mogli żyć jak prawdziwi Europejczycy. □

„GAZETA WYBORCZA" 27 VI 2012 r.

Katarzyna Wiśniewska w art. *Homoherezje o* homomafii księdza Oko:

W Kościele katolickim odkryto nową herezję. Wnioski z gruntownych badań w tej materii ogłosił ks. dr hab. Dariusz Oko, wykładowca Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. To „homoherezja".
Jak czytamy we „Frondzie", „przeciwnik jest nie tylko na zewnątrz Kościoła, on już jest w środku, nieraz dobrze zamaskowany, jak koń trojański. Istnieje nie tylko problem homoideologii i homolobby na zewnątrz Kościoła, istnieje analogiczny problem także wewnątrz niego, gdzie homoideologia przyjmuje postać homoherezji". Ks. Oko czuje solidarność z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, który po lekturze teczek w IPN orzekł niedawno (w książce wydanej przez Frondę), że Kościołem trzęsie mafia homoseksualna. Przykład: gdy kuria nie dawała rady z homoseksualizmem księdza, to go przerzucała do Rzymu. [Homoseksualni księża tworzą nieformalne związki o naturze sitwy albo nawet mafii, dążą do opanowania szczególnie tych miejsc, gdzie są władza i pieniądze. Gdy osiągną jakieś stanowisko decyzyjne, starają się promować i awansować przede wszystkim osoby o podobnej im naturze, albo przynajmniej takich, o których wiadomo, że są zbyt słabi, by im się kiedykolwiek sprzeciwić. Na tej drodze członkowie homositwy mogą osiągnąć takie stanowiska i takie wpływy, że nabierają poczucia nadzwyczajnej mocy i zupełnej bezkarności".

„GAZETA WYBORCZA" 16 VII 2012 r.

W *Rozmowie Tygodnia* Katarzyna Wiśniewska przeprowadza wywiad z ks. Kazimierzem Sową – szefem Religia.TV, który jednoznacznie stwierdza:

– Często po stronie PO dominuje przekonanie, że można dać Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek, tzn., tak formułować postulaty światopoglądowe, by były swoistym kompromisem, ale na zasadzie: my nie idziemy za daleko, a wy w zamian przymykacie oczy.
To widać przy in vitro. Mam wrażenie, że rząd z jednej strony chciałby dać sygnał: jesteśmy nowocześni, otwarci, ale nie przeginamy, doceńcie to. A Kościół mówi: nie. Widać to bardzo wyraźnie, gdy propozycja ustawy o in vitro Jarosława Gowina nie spotyka się z akceptacją Kościoła, ale z zadziwiającym ze strony wielu duchownych atakiem. Więc PO przyjęła taktykę: to zrobimy ostrzejszą ustawę, docenicie wtedy projekt Gowina. Dziś wszyscy są w ślepej uliczce.
Działając dla dobra publicznego, nie trzeba działać w kontrze do Kościoła. Niekoniecznie państwo musi wymachiwać sztandarem postępu i być promotorem rozwiązań idących z duchem czasu. Ale też nie można karać kogoś za to, że jest np. homoseksualistą. To naganne zarówno z punktu widzenia prawa, jak i wrażliwości chrześcijańskiej. Prawo nie może być zwrócone przeciwko konkretnemu człowiekowi.

„Res Humana" nr 4/2012 r.

Zofia Hübner w art. *Mielizny tolerancji* pisze*:*

Działalność Komisji Majątkowej była gorsząca, wobec czego wołanie duchowieństwa rzymsko-katolickiego o dotacje w sytuacji grożących trudności ekonomicznych czy znacznej liczby wyjazdów z kraju w poszukiwaniiu pracy i dachu nad głową, zniesmacza i oburza. Mimo ogromnych sum, jakie wchłonął Kościół w Polsce i przejętych, jakoby „zwróconych" nieruchomości, które zostały z zyskiem sprzedane, wciąż słyszymy o „nieprawnie zagranietych dobrach". 0,3% podatku na Kościół to za mało! Jeśli owe 0,3% nie przełoży się na kwoty, jakie Kościół otrzymuje do tej pory, budżet weźmie na siebie obowiązek dopłaty, bo zadowalający dla Kościoła byłby 1% (...) Państwo nie jest bytem idealnym. Ale to od najwyższych władz państwowych będzie zależało, czy okażą się dostatecznie odpowiedzialne, aby Kościół do współdziałania przekonać i to na zasadach świeckich przez państwo dyktowanych. W przeciwnym razie zagraża nam dwuwładza – rządzi rząd pod dyktando Kościoła. „Kościół bowiem pragnie dominować, a nie negocjować." (Eric Hoffer, *Żarliwość umysłu*). Zastanówmy się więc nad tym, co tolerujemy i powiedzmy Kościołowi: NON POSSUMUS!

CZESŁAWA JOLANTA KOTARBA

● W Londynie rozczarowały mnie uroczystości rozpoczynające igrzyska. Impreza była dziwaczna, niezrozumiała dla przeciętnego zjadacza chleba; nie zelektryzował widzów nawet skok królowej ze spadochronem. Zapalenie znicza – ten zawsze podniosły moment umknął wielu obserwatorom z oczu. Zbyt wiele osób uczestniczyło w tym rytuale. Natomiast zakończenie igrzysk było bardzo piękne, wzruszające, nostalgiczne. Sportowcy, zwłaszcza medaliści płakali wzruszeni. Defilada końcowa była jak nigdy dotąd spontaniczna i radosna. Występy artystyczne: śpiewy, tańce były na wysokim poziomie. Jeśli chodzi o nasze sukcesy sportowe to wprawdzie zdobyliśmy dziesięć medali, podobnie jak na dwóch poprzednich olimpiadach, ale nie były to medale (z wyjątkiem dwóch) z tego najcenniejszego kruszcu i co liczy się bardzo wysoko w ustaleniu miejsca w rankingu zwycięzców. Ale i tak należy podziękować naszym sportowcom za trud, za walkę i wolę zwycięstwa. Zdziwiły mnie także dość pustawe trybuny z kibicami. Dopiero ostatnie zawody lekkoatletyczne, a szczególnie sztafety, zgromadziły dużo widzów. Wcześniej prawdopodobnie zawiniła niezbyt udana dystrybucja biletów wstępu – przynajmniej tak się mówi w mediach.

● W tym roku jak zawsze uroczyście obchodziliśmy rocznicę powstania warszawskiego – już sześćdziesiątą ósmą. Po tylu latach nie możemy jednak rozstać się z pewnymi mitami, które ciągle funkcjonują w świadomości społecznej. Generalnie nie mamy odwagi (z wyjątkiem niektórych historyków i mediów, np. „Przegląd") powiedzieć, że powstanie było źle przygotowane i wybuchło w niewłaściwym czasie. Mimo niewątpliwego bohaterstwa jego uczestników jako społeczeństwo ponieśliśmy ogromną klęskę. W telewizyjnej wypowiedzi jeden z dorosłych uczestników powstania stwierdził, że emocje były już tak ogromne wśród ludzi, że nie można już było powstrzymać działań powstańczych. Jakiś młody człowiek wtedy powiedział: „oceniać emocje ludzi nie jest i nie powinno być sprawą dowódców wojskowych, oni powinni oceniać realia, w których ludziom przyjdzie walczyć". Ten głos cytuję, bo oświadczy on o mądrości tego młodego człowieka. Pozytywem tegorocznych obchodów jest to, że wreszcie doceniona została rola kobiet w powstaniu. Czterdzieści procent uczestników powstania to były właśnie kobiety, w tym także młode małżeństwa. Kobietom zatem poświęcono program telewizyjny zatytułowany „Morowe dziewczyny". W Warszawie od wielu już lat stoi pomnik – bardzo kochany przez jej mieszkańców. Jest to pomnik młodego powstańca, dziecka w mundurze z automatem w ręku. Dzieci do lat dwunastu nie walczyły z bronią automatyczną w ręku. To jest następny mit. One były powstańczymi listonoszami i pomocnikami sanitariuszy. Wybuchowi postania przeciwni byli niektórzy politycy emigracyjni, jak np. gen. Władysław Anders. Inni, zajęci jak zwykle rozgrywkami politycznymi w środowisku emigracyjnym – nie mieli głowy i serca, by stanowczo przeciwstawić się planom powstańczym. I to już nie jest mit, lecz gorzka prawda.

● W Polsce, w sezonie letnim, niemal tradycyjnie już plajtują biura podróży. Strach liczyć na udane wczasy zagraniczne organizowane przez nasze biura. Urlop można spędzić pod gołym niebem, nie ważne, że jest to niebo Egiptu, Grecji czy innego południowego kraju. Spać jednak trzeba przecież w łóżku i jeść posiłki przygotowane w hotelu, a potem czymś i za coś wrócić do kraju. Jak dotąd nic nie wiemy o efektach kontroli dokonywanych w biurach podróży i o działaniach prokuratury w tych samych sprawach. Cisza..., a sezon się kończy. Może jesień, a najlepiej zima ostudzi rozżalonych, nabitych w butelkę wczasowiczów i zmęczeni machną ręką na poniesione straty. Czy na to liczą nasze biura podróży i liczne kontrole?!

● Afery gonią aferę. Teraz para bank Amber Gold oszukał swych klientów. Tylko w Krakowie naliczono już około 150 oszukanych osób, ale podobnie jest w całej Polsce. Ludzie mamieni wysokimi procentami wpłacali swe niemałe oszczędności. Wśród nich wiele starszych osób – emerytów i rencistów. Nieuczciwość występuje na każdym kroku w Polsce, zarówno w instytucjach prywatnych i niestety państwowo-społecznych. W miarę rosnącego bezrobocia rośnie groźne zjawisko nepotyzmu. Szef bowiem w danej instytucji ma serdecznych przyjaciół, kuzynów, siostrzeńców i bratanków. I wszyscy oni chcą mieć dobrą pracę i jeszcze lepszą płacę. Jeżeli krewny lub przyjaciel ma wysokie kwalifikacje rzeczywiste i moralne, to niech uzyska po „znajomości" posadę, ale czy zawsze tak jest w rzeczywistości? Afera w resorcie rolnictwa zaskutkowała zmianą na stanowisku ministra i na innych kierowniczych stanowiskach. Czy możemy zatem mieć pełne zaufanie do rządzących, jeśli zjawisko nepotyzmu jawi się wszędzie, na dole i w górze? Nepotyzm budzi zdecydowany opór społeczny. To nie jest racjonalna i sprawiedliwa polityka kadrowa.

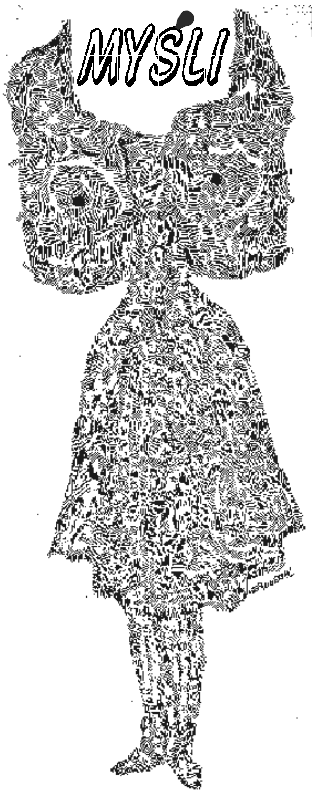

Zawód polityka podobny jest do zawodu trenera. Musi być na tyle inteligentny, by rozumieć reguły gry, i wystarczająco tępy, by sądzić, że to ważna gra.

Eugene Maccarthy

Mąż stanu to polityk nie żyjący od piętnastu lat.

Harry Truman

Kiedy uczciwi i mądrzy sprawują rządy, prostacy i głupcy ładu przestrzegają. Kiedy prostacy i głupcy rządy sprawują, uczciwi i mądrzy stają się buntownikami.

MoTi

Konstytucje są dziełem czasu, toteż droga pozostawiona dla ulepszeń nigdy nie będzie za szeroka.

Napoleon Bonaparte

Nie władza korumpuje – korumpuje lęk przed utratą władzy.

John Steinbeck

Wszystkie narody mają w swojej historii fakty, które byłyby cudowne – gdyby nie to, że nie są prawdziwe.

Denis Diderot

Nie powtarzaj tych samych błędów. Posądzą cię o sklerozę.

Antoni Regulski

Kulturalność to lakier, który łatwo rozpuszcza się w alkoholu.

George Bernard Show

Jeśli potrzebujesz pieniędzy, udaj się do obcych. Jeśli rady – do przyjaciół, a jeśli nie potrzebujesz niczego – do krewnych.

Mark Twain

Wybrała : Czesława Jolanta Kotarba

EX LIBRIS FORUM

Projekt okładki: Stefan Berdak
Kompozycja stron: Antoni Pietryka
Grafiki: Barbara Pietryka